№ 43. Warszawa, dnia 26 (14) Października 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

PRZEJRZYSTA GRA.

Niezawodnie, żaden człowiek nie utkwił tak groźnie kością w gardle madziarskiem, jak biskup Strossmayer. Z tym lub owym patryotą słowiańskim, z niewynarodowioną masą ludu chorwackiego węgrzy umieją sobie radzić: jednostkę ubezwładnią, lud zgnębią, ale co począć z dostojnikiem Kościoła, człowiekiem niezłomnym, wpływowym i posiadającym rozległe środki, które zużywa dla dobra swej ojczyzny? Co zrobić z potężnym nieprzyjacielem, który nie knuje spisków, nie przygotowywa buntów, nie rzuca tajemnie iskier rewolucyi, ale jawnie i prawnie: uposaża uniwersytet, zakłada akademię umiejętności i galeryę obrazów, tworzy szkoły, wyznacza stypendya itd.? Czem pokonać takiego przeciwnika, który w jednej ręce trzyma miecz siły a w drugiej tarczę godności? Być może, iż nawet w tym wypadku znana pomysłowość prześladowcza madziarów nie odmówiłaby im dawno już skutecznej usługi, gdyby t. z. konstytucya Austryi nie była jeszcze drzewem zbyt młodem, zobowiązującem do pewnej o nią troskliwości. Ale nareszcie to drzewo szybko zestarzało się, zaczęło próchnieć a dziś tyle robaków wierci w niem dziury, że można już rozgrzeszyć się z wielu dla niego względów. I czas temu sprzyja. W siódmym i ósmym dziesiątku obecnego stulecia, bądź co bądź, Europa miała wiele pierwiastków czystego powietrza i wiele promieni słonecznego światła. Teraz panuje w niej zaduch i ciemność, ożywcze prądy po jej życiu nie przebiegają, przeciwnie mnożą się miazmaty chorobliwe i recepty przeciwko cywilizacyi. W takiej porze okrucieństwo jest bezwstydniejszem a siła — zuchwalszą. Ośmieliła ona też węgrów, którzy postanowili rozprawić się ze swym wewnętrznym wrogiem.

Pewnego dnia obleciała świat dziwna wiadomość, że lasy, należące do biskupstwa dyakowarskiego wzięte zostały pod sekwestr rządowy a gospodarujący nimi Strossmayer oskarżony o samowolę zniszczenia tego źródła dochodów biskupich. Gdyby w tem zrównaniu algebry politycznej nie spotkały się dwie ilości tak wiadome, jak rząd węgierski, znany ze swej instynktowej odrazy do słowian i Strossmayer, znany ze swej ofiarności i patryotyzmu, można było przypuścić, że widzimy dym, pod którym musi płonąć ogień. Ale pamiętając o długoletniej walce tych dwu zapaśników, niewątpliwie każdy odrazu pomyślał, że tu chodzi o zadanie ciosu nienawidzonemu biskupowi. Wyjaśnienie podawane w tej sprawie przez dzienniki stron obu potwierdzają ten domysł. Wogólnym zarysie rzecz tak się przedstawia. Biskupstwo dyakowarskie posiada około 30,000 morgów lasu, z którego wolno mu czerpać dochody w zakresie umiejętnej i rzetelnej gospodarki. Już przed kilku laty prawidłowość jej podano w podejrzenie. Ustanowiona jednak w tym celu komisya orzekła, że wyrąb odbywa się zbyt nadużyć, ale nawet zbyt oszczędnie. Wtedy Strossmayer polecił znawcom opracować szczegółowy plan wyrębów i przesłał go odnośnej władzy rządowej, która naturalnie nie pośpieszyła się z zatwierdzeniem. Skutkiem tego wycinanie lasu szło dawnym porządkiem i — według gazet madziarskich — zniszczyło go zupełnie, tak, że pozostała zaledwie stumorgowa kępa. Podczas więc gdy sekwestr zajął *lasy*, jego sprawcy i obrońcy twierdzą, że lasów niema. Pisma chorwackie nietylko wyszydzają sprzeczność, ale zadają kłam całemu oskarżeniu. Nie przeczą one, że z tego źródła wpłynęły do kieszeni Strossmayera miliony, ale on te miliony przelał do skarbca narodowego i stworzył za nie długi szereg instytucyj, które stanowią jego rachunek z dochodów. Rzeczywiście instytucye te, w których utonęły olbrzymie sumy, przedstawiają widomy rachunek i dowodową, dotykalną obronę biskupa. A chociażby nawet okazało się, że powierzonych mu dóbr nieco nadużył, że je zbyt wyczerpał, to w każdym razie zrobił to dla narodu, dla ratowania jego nędzy materyalnej i umysłowej, dla dostarczenia mu dźwigni cywilizacyjnych. Jeżeli przeto ze strony formalnej zasługuje na naganę, to ze strony obywatelskiej tylko na pochwałę. Wszystkim wiadomo, że jest to człowiek biedny i prowadzący możliwie skromne życie, osobistego zbytku nie zna. i nigdy nie kochał; a nikt chyba nie zaprzeczy, że akademia, uniwersytet, galerya, seminaryum, szkoły są jego tworami, że go otaczają jako wymowni świadkowie jego poświęceń i wspaniałomyślności. Mylił się nieraz, błądził bardzo, łudził się dziecinnie, ale zawsze był człowiekiem uczciwym i patryotą idealnym. Uderzano w niego piorunami z Wiednia i Rzymu, z tronu papieskiego i monarszego, on nie ugiął i nie pochylił czoła przed niczem, tylko przed ideą szczęścia i dobra swych ziomków. Czyż węgrzy istotnie sądzą, że takiego człowieka zohydzą nawet po za granicami jego ojczyzny? Przekonają się niewątpliwie o swej omyłce, bo tyleż w zatargu z nim oni złożyli dowodów złej woli, ile on dobrej. Niezależnie od praw, obie strony mają swoje

kredyty moralne, które na przebieg i zakończenie tej sprawy wpływ wywrą.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 18 października.

Stosunki ekonomiczne Austryi. — Cła ochronne — czy układy handlowe? — Początki walki parlamentarnej w Węgrzech. — Reforma administracyi węgierskiej. — Nowa fizyognomia sejmów austryackich.

Przemowa barona Leitenbergera, jednego z najwybitniejszych przemysłowców austryackich, jasne rzuca światło na rozwój stosunków ekonomicznych Austryi od lat dziesięciu, to jest od chwili, kiedy system ceł ochronnych wstąpił na miejsce dawnych układów ze związkiem celnym z państwami ościennemi, zwłaszcza zaś z Niemcami. Leitenberg, właściciel słynnej fabryki Kosmanos, swego czasu sam był zwolennikiem protekcyonizmu: obecnie wygłosił przekonanie wszystkich członków reichenberskiej izby handlowej, wypowiadając w ich gronie, że system ten spowodował stan rozpaczliwy, że przemysł austryacki zbliża się do przesilenia fatalnego. Pod hasłem samodzielności ekonomicznej zamknięto przed dziesięciu laty granice dla zagranicznego; niebawem państwa ościenne podobnemi oszańcowały się taryfami, wymiana towarów utrudnioną i zredukowaną została niezmiernie. Parę tysięcy przedsiębiorców wzbogaciło się od tego czasu, atoli ogół przemysłowców ucierpiał wielce. Z ceł ochronnych wyrodził się kartel (umowy), postrach drobnego przemysłu i publiczności. Wielcy producenci potworzyli stowarzyszenia monopolizujące sprzedaż towarów gotowych, w najnowszych czasach nawet — materyałów surowych. Tłumią oni współzawodnictwo kapitału drobnego; podkopują całą organizacyę ekonomiczną, opartą na kapitale prywatnym, nie zastępując jej wyższą, mającą na względzie dobro powszechne, lecz oligarchicznym systemem ekonomicznym. Regulując sztucznie produkcyę i zbyt, nadużywają swej władzy dla własnej korzyści w ustanawianiu cen. Osiemset procentów zysku, z jakim państwo sprzedaje sól, jest korzyścią wszystkich kupujących, napełniającym skarb państwa. Lecz setki procentów przy sprzedaży węgla, koksu, żelaza, piwa lub juty wzbogacają tylko wielkich przedsiębiorców. Kartel doszedł do takiej potęgi, że spożywca traci swą niezawisłość, skoro nie chce zgubić się ekonomicznie. Nawet tak znaczny, jak kolej żelazna, nie może sobie wybrać fabryki, którąby mu szyn dostarczyła; związany z kartelami, musi się trzymać pewnej fabryki. Przemysłowcy, którzy zrzec się muszą wywozu, a którzy zabezpieczeni są przed współzawodnictwem ze strony taniego przywozu, korzystają z przywileju danego im przez przemoc ich ekonomiczną i czynią niezależnemi ceny swych towarów od cen rynku światowego. Najprostsza logika wykazuje wady tego ustroju, nasuwa środek zaradczy: uregulowanie produkcyi i odbytu, unormowanie cen nie przez możnowładców ekonomicznych, ale przez państwo, broniące interesów wszystkich obywateli. Atoli tu kończy się bystrość rozumowania barona Leitenbergera, słynącego zręcznością i wykształceniem. Szlachetny i odważny krytyk organizacyi ekonomicznej, która mu grube przyniosła miliony, wzdycha nie do upaństwowienia produkcyi, ale do wznowienia układów handlowych, unii celnej. Po upływie mniej więcej dwóch lat skończą się umowy, obowiązujące wielkie państwa europejskie; nadchodzi chwila nowych stosunków handlowych. Trzeba rozstrzygnąć pytanie, czy należy prowadzić dalej walkę ekonomiczną, czy uczynić ustępstwa jakieś systemowi wolnohandlowemu. Myśl unii celnej dla państw Europy środkowej coraz natarczywiej pojawiać się zaczyna. Przemysłowcom austryackim idzie bardziej o związek z Niemcami. Ci zaś pokojem frankfurckim związani są z Francyą, której na wieczne czasy przyrzekli warunki najkorzystniejsze. Polityków handlowych obu państw zajmuje tedy obecnie projekt układu, któryby pozwolił otoczyć Austryę opieką celną, większą niż ta, której używa Francya. W Niemczech izby handlowe żalą się na upadek wywozu wyrobów do Austryi i na drożyznę wiktuałów. Skoro umożebnią jej wprowadzanie mąki do Niemiec, Austrya nawzajem zmuszoną będzie obniżyć cła dla wytworów niemieckich. Galicya z układu takiego korzystałaby bezpośrednio przez ułatwienie wywozu płodów rolnictwa; czy dla jej produktów, które obecnie na miejscu dostatecznego odbytu nie znajdują, otworzyłby się odbyt na rynkach niemieckich, trudno z góry rozstrzygnąć.

W Węgrzech stoczono już pierwsze potyczki, zapowiadające zaciętą walkę parlamentarną na rok nadchodzący. Rozpoczął niejako urzędownie Tisza przemową w gronie swych wyborców w Grosswardein. Wyświetlił on cele i zamiary reformy administracyjnej, której projekt przygotowywa. Reforma ta ma uwieńczyć piętnastoletnie usiłowania gabinetu Tiszy, dążące do podźwignięcia królestwa ze smutnych stosunków, w jakich pozostawiły je rządy stronnictwa Deakowskiego. Przekształcenie systemu administracyjnego sięgnie głębiej, niźli pierwotnie przypuszczano. Nietylko sposób mianowania urzędników ma być zmienionym przez wprowadzenie nominacyi zamiast wyborów; już w gminie administracya autonomiczna oddzieloną będzie od politycznej. Zakres działania autonomiczny i nadal oddany będzie municypiom węgierskim, polityczna zaś administracya przejdzie w ręce organów wykonawczych, które państwo mianuje dożywotnie; a nawet tam, gdzie pozostaną, to jest w miastach wielkich, urzędnicy funkcyonować mają nie przez lat sześć, lecz stale. Między dotychczasową pierwszą instancyą administracyi politycznej a gminą stanie organ nowy, który pełnić będzie obowiązki wykonywane dotąd przez urzędników gminy. Zmiana ta, o ile z jednej strony jest podstawą projektowanego przekształcenia administracyi w duchu centralistycznym, o tyle z drugiej przedstawia się jako świetny pomysł taktyczny. Owa bowiem zasadnicza reforma, stając w sprzeczności z praktycznymi interesami mnóstwa ludzi wpływowych, napotka na opozycyę jawną i silną u stronnictw nieprzychylnych Tiszy, a niezawodnie na opór tajny pewnej części jego zwolenników. Ulga materyalna, jakiej doznają gminy, stanie się silnym argumentem, skłaniającym je do przyjęcia nowej ustawy.

Sędziwy Tisza podejmuje dzieło olbrzymie, chociaż wątpić można, ażeby go dokonał całkowicie i w czasie tak krótkim, jakiego wymaga sędziwy wiek jego. Do walki z reformą staje przedewszystkiem szczere przekonanie stronnictwa niezawisłego, wypowiedziane przez Daniela Iranyego, przed wyborcami w Bekes. Stronnictwo to godzi się w zasadzie na przekształcenie administracyi, lecz żadną miarą poświęcić nie chce całkowitej autonomii komitatów i wybieralności urzędników. To bowiem wzmocni władzę rządu i tak już przemożną. Któż zaręczy, że konstytucya nigdy już nie ulegnie ograniczeniu lub zniesioną nie zostanie, że parlament nigdy rozwiązanym nie

---

BISEBAN

OPOWIEŚĆ

M. JOKAJA.

Bisebanami nazywają się głuchoniemi sułtana.

Sposób wytwarzania ich jest bardzo prosty, a w Golgondzie zajmuje się tem kilkuset ludzi. Od biedaków, posiadających wiele dzieci, nabywają oni je, zależnie od jakości, po 10 lub 20 rupij za sztukę, zanim one skończą rok i zaczną mówić. Przedewszystkiem nalewają im w uszy ostry płyn z trującej rośliny, skutkiem którego dzieci zupełnie głuchną. Dwie trzecie niemowląt przy tej operacyi ginie; te więc, które ją przeżyły i wyrosły, są bardzo kosztowne i posiadają wysoką cenę.

Skoro dziecko straci słuch, nie uczy się mówić i pozostaje nieme, a jako głuchonieme nie zawiązuje stosunków ze światem, w którym żyje i nie może sobie nazwać żadnego z widzianych naokoło przedmiotów. Jest to człowiek, któremu brak duszy.

Te bezduszne istoty stanowią w seraju bardzo poszukiwany towar. Przebywają ciągle obok sułtana, mają dostęp do jego najtajniejszych komnat, są stróżami jego najcenniejszych papierów i stoją przy nim w czasie narad z dostojnikami państwa. Nie słyszą bowiem cudzej mowy, nie mają żadnego pojęcia o znaczeniu słów, nie rozumieją nic, co tkwi w krętych znakach głosek, umysł ich nie posiada wyobrażeń odpowiadających słowom pisanym, z nikim nie mogą mówić o tem, co ich oczy widzą.

Takimi są biedne bisebany.

Ale za to chodzą odziani w jedwab i purpurę, opasani sznurami pereł, jedzą potrawy schodzące ze stołu sułtana i wogóle cieszą się wysoką łaską — podobni do małp i papug, które wielcy panowie trzymają w swych pokojach dla zabawki.

Kalekie te twory ludzkie nie są również uczone tego, czego wymaga dusza człowieka. Stać na straży, nie ruszać się z miejsca, włożony im w rękę przedmiot przenieść na oznaczone miejsce, paznokcie sułtanowi obcinać delikatnym nożykiem i układać jego turban — oto wszystko, do czego bywają przyzwyczajani — niby psy tresowane w służeniu i noszeniu za panem porzuconych przedmiotów.

Sułtan Mustafa III, jeszcze jako następca tronu, miał ulubionego bisebana, łagodniejszego i milszego od innych. Jego wielkie oliwkowe oczy zdradzały tyle tkliwości i rozumu, że aż żal było, iż on ani czuć, ani myśleć nie może. Równie jak inni, nie posiadał żadnego imienia. Na co imię bisebanowi? Przecież on nie słyszy, gdy go zawołają.

* *

Zwykle biseban jest także eunuchem i jako taki ma wstęp do seraju.

Mustafa często przez bisebana posyłał swej siostrze, pięknej Salihii, okazy dudaimów, rosnących w ogrodzie sułtana, które zyskały sławę przez to, że gdy raz sułtan nie znalazł dojrzałego owocu dudaimu na właściwem miejscu, a izoglani nie chcieli wyznać, kto go tajemnie zjadł, siedmiu z nich kazał rozpłatać brzuchy. Na szczęście znaleziono owoc w żołądku siódmego, inaczej ten sam los spotkałby wszystkich siedmiuset.

Piękna Salihia była istotą dobrotliwą, wiedziała, jak łagodnym i przyjemnym chłopcem był biseban jej brata, nie uważała więc za ujmę dla swej godności żartować z nim i zadawać mu mimiką rozmaite pytania, które on szybko pojmował. Zalewała ona biednego chłopca całem sercem; czemu on nie posiadał duszy?

Pewnego dnia piękna Salihia, przechadzając się w gaju cyprysowym, zaczęła rozmyślać nad tem, czy niema sposobu powrócenia wydartej duszy żywo umarłemu jej właścicielowi?

będzie, że nie przyjdzie czas, gdzie rząd bez kontroli ciała ustawodawczego kierować zacznie sprawami kraju? Nie należy zapominać o naukach, przekazanych przez historyę węgierską. Obok tej opozycyi, która walczyć będzie środkami godziwymi, parlamentarnymi, powstaną przeciwko Tiszy i jego reformie ci wszyscy, którzy w ostatnich czasach wprowadzili metodę walki, zagrażającą wprost spokojowi i porządkowi społecznemu. Jest to mniejszość, która nie mogąc pokonać większości siłą liczebną, pragnie ją zteroryzować. Już podczas rozpraw o ustawie wojskowej przekonano się, do jakich następstw prowadzi w Węgrzech walka parlamentarna, przeniesiona przez posłów opozycyjnych z sali obrad na ulicę: widziano, że wybuchy te zwracają się głównie przeciw osobie Tiszy i zagrażają życiu jego. Obecnie taż sama opozycya ukuła sobie nowe bronie. W czasie pobytu cesarza na Węgrzech, przy sposobności wielkich manewrów, zdarto w nocy chorągiew czarno-żółtą, zdobiącą dom pułkownika honwedów i unurzano ją w błocie ulicznem: honwedzi, jako żołnierze przeznaczeni do obrony kraju, winni mieć chorągiew narodową, trójkolorową. Że zaś kolor czarno-żółty jest barwą domu Habsburgów, wypadek ten wywołał wielką wrzawę, niechęć panującego i kłopot dla Tiszy. Nadto dał on opozycyi sposobność do podniesienia w parlamencie kwestyi barw narodowych, wielce kłopotliwej dla stronnictwa większości, a zmuszającej Tiszę do wystąpienia, szkodzącego jego popularności u tłumów. Taż sama opozycya spowodowała kler okręgu łozońskiego do ogłoszenia protokułu, w którym obwinia Tiszę, że, jako protestant, mylnie poinformował cesarza o stanowisku duchowieństwa katolickiego; organ znowu hr. Appony'ego zapowiedział jasno, że walka, podjęta przeciw większości, przedewszystkiem zwracać się będzie przeciw prezesowi ministrów. Tisza oświadczył w swej przemowie, że nie ustąpi przed naciskiem i teroryzmem mniejszości. Dowiódł on, że nie brak mu energii i odwagi osobistej. Atoli osobiste te jego przymioty nie wystarczają do zapewnienia tryumfu projektowanej reformy. Przeprowadzenie jej w takich rozmiarach wymaga zawsze w pewnym stopniu przynajmniej życzliwości ze strony opozycyi. Tu zaś walczyć będzie z siłą rozpaczliwą, rozkiełzna namiętności tłumów i gotowa dramat parlamentarny, którego bohaterem jest Tisza, przemienić na tragedyę.

We wszystkich krajach korony austryackiej, wyjąwszy Tryest i Dalmacyę, obradują sejmy. Sześć tych ciał wyszło świeżo z wyborów: w Galicyi, Czechach, Istryi, Gorycyi i Krainie; postać sejmów jest dziś inną, aniżeli w latach poprzednich. W galicyjskim widzimy znaczny wzrost żywiołu mieszczańskiego i wieśniaczego, którego groźność dla panującego stronnictwa szlacheckiego poświadczają broszury panów krakowskich. W Czechach, obok licznego zastępu młodo-czechów, widać miejsca puste, oznaczające niemy protest niemców, którzy w tym roku również większą ilość mandatów uzyskali, aniżeli poprzednio. Deputowani niemieccy reprezentują ludność półtrzeciamilionową. Na zgromadzeniu w Pradze powzięli jednomyślnie uchwałę nieuczestniczenia dalej w sejmie aż do chwili, kiedy większość czeska zaręczy im, że nie usunie z porządku dziennego wniosków przez nich stawianych, jak to się działo dotychczas. Zaraz po otwarciu sejmu Gregr wystąpił z wnioskiem adresu, domagającego się koronacyi.

W Tyrolu złamano dotychczasową większość klerykalną; włosi zawarli tym razem sojusz ze stronnictwem liberalnem. W Krainie słoweńczycy mają większość w sejmie; atoli wskutek wyborów nowych rozprysła się ona na trzy odłamy. Obok partyi młodo - słoweńskiej, wyzwalającej się z pod wpływu kleru niezależnie od przemożnego dawniej stronnictwa staro-słoweńskiego, występuje grupa posłów o zabarwieniu panslawistycznem. Bądź co bądź, we wszystkich sejmach żywioły ludowe i postępowe stanęły silniej, niż kiedykolwiek; jest to zjawisko pocieszające wobec prądu reakcyjnego, idącego z góry. Budzi ono nadzieję tem lepsze, ile że przy najbliższych wyborach do Rady państwa powtórzyć się musi w szerszych rozmiarach i ze skutkiem bardziej decydującym dla spraw wewnętrznych i dla zewnętrznej polityki państwa.

Stwosz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Ponieważ wiadomości pewnych o wynikach politycznych zjazdu berlińskiego brak, więc fantazya harcuje swobodnie po polu przypuszczeń, na którem nic trwałego o-przeć nie może. Jakkolwiek głównym materyałem prasy obecnej są domysły i plotki, które plenią się zwłaszcza tam, gdzie zasłon prawdy przeniknąć nie można i jakkolwiek dziś stało się nawet rodzajem obowiązku dziennikarskiego zapisywania plotek — zrzekamy się i tego materyału i tej powinności. Zaznaczymy tylko, że zarówno gazety ruskie, jak niemieckie, są ze spotkania monarchów dotąd zadowolone.

Z powodu nadchodzących zaślubin następcy tronu greckiego z księżniczką pruską, Ateny ugoszczą w swych murach wyjątkowo liczny zbiór głów koronowanych i przeznaczonych do korony. Cesarz niemiecki z żoną już tam przez Włochy wyjechał, Jego Cesarska Wysokość Następca tronu ruskiego już przybył.

Król portugalski Karol zmarł, a rządy po nim objął Ludwik, który odezwą swą poręczył nietykalność konstytucyi i prawa kościoła katolickiego, pozostawiwszy dotychczasowych ministrów na ich stanowiskach. Małe znaczenie Portugalii w międzynarodowych stosunkach politycznych nie obciąża tej zmiany wielką wagą.

Do następcy tronu wirtemberskiego, ks. Wilhelma, strzelił jakiś człowiek, mieniący się Kleiberem, czeladnikiem siodlarskim. Kula chybiła, a jak zwykle w tego rodzaju wypadkach, nie wiadomo, czy sprawca zamachu jest obłąkanym, czy też działał ze świadomością i z pobudek politycznych.

Sejm pruski otwarty został mową tronową, która obok zwietrzałych już zapewnień pokojowych zawiera — te rzeczy dziś chodzą z sobą w nierozłącznej parze— obietnicę podniesienia siły zbrojnej państwa i opracowania ustawy o socyalistach. Europa tedy otrzyma znaczną ulgę w swych obawach o pokój, gdyż Niemcy będą miały więcej... wojska.

Co do socyalistów, jak wiadomo, kiełznani oni dotąd byli w Prusach „prawami wyjątkowemi“ z charakterem tymczasowości, odnawianemi i zatwierdzanemi co czas pewien. Otóż obecnie mają oni się dostać pod prawa stałe. Że te będą jeszcze ostrzejsze, nie ulega wątpieniu, bo nawet motywy projektu wspominają o bezskuteczności środków dotąd stosowanych.

I skupczyna serbska otwarta została mową tronową z sakramentalnem zapewnieniem pokoju. Regenci jednak nie odzywają się z wielkiego tonu, lecz skromnie zapowiadają pracę nad usunięciem kłopotów wewnętrznych, naturalnie nie wspominając ani o Milanie, ani o Natalii.

Gdyby go nauczono liter i wskazano jakiś przedmiot, którego nazwę mógłby z nich złożyć, to może poznałby on świat cały.

Salihia zrobiła próbę. W zabawce tej śród wiecznej jednostajności seraju mogła ona znaleźć tylko przyjemną rozrywkę; przecież nieraz słyszeliśmy, że skazani na długoletnie więzienie wyuczają szczury i pająki służyć i tańczyć, a czemże więzienie w seraju jest przyjemniejsze, niż w twierdzy i dlaczegożby głuchoniemy nie miał być tak pojętnym, jak szczur lub pająk?

Zaraz w pierwszych lekcyach zdziwiła Salihię genialna zdolność bisebana. Po paru wskazaniach rozumiał on wszystko; raz tylko spojrzawszy, kreślił każdą literę na ziemi, a czego się nauczył, już nie zapominał.

Pierwsze powodzenie zachęciło Salihię do dalszych usiłowań. A gdyby można było nauczyć bisebana mówić! „Co — mówić? Tak mówić, ażeby tego nikt nie dostrzegał — rękami.

Ręka ludzka ma pięć palców, których składanie i rozkładanie co najmniej daje tyle kombinacyj, ile alfabet ma liter. Można tedy jednym rzutem ręki wyrazić całe słowa, których nie zrozumie nikt, nieznający tajemniczych znaków.

Zabawka udała się nadzwyczajnie. Wkrótce bisebaн przyswoił sobie niemy język, a Salihii sprawiało to wielką przyjemność, gdy pytała go o takie rzeczy, które, według mniemania jej brata, nie mogły być nikomu znane. Drażniła wtedy Mustafę swemi wiadomościami, utrzymując, że zdobywa te tajemnice za pomocą czarodziejskich tablic kabalistycznych.

* * *

Czy można było podejrzywać bisebana? Był on przecie niemy i głuchy.

Tymczasem Mustafa po śmierci sułtana Osmana wstąpił na tron, miejsce zaś niedorzecznych figlów dziecinnych zajęły troski o utrzymanie państwa.

Już wtedy niebezpiecznie wahało się ono w swych podstawach, podczas gdy jego wrogowie naokoło rośli w potęgę.

Państwo tureckie posiadało jednego wielkiego człowieka, Ragiba baszę, który mocną ręką podtrzymywał jeszcze tron. On to zmógł zbuntowanych książąt egipskich i zmusił ich do poddania się i wierności berłu padyszacha.

Ragib był nietylko bohaterem na polu bitwy, ale także sławnym poetą i największym uczonym swego narodu, którego późniejsi pisarze jako męża stanu nazywali „głową mędrców,“ a jako autora — „księciem poetów Rumelii“ i w którego olbrzymiem dziele *Okręt wiedzy* zebrane są wszystkie skarby, jakie poeci Wschodu pozostawili, rozproszone na pustyniach i oazach. Założył on wspaniałą, jego imieniem ochrzczoną bibliotekę, wyższą szkołę oraz ognisko naukowe dla młodzieży ubogiej a łaknącej wiedzy. Śród tych wieczno-trwałych gmachów, między wodotryskami, znajdował się również grób nieśmiertelnego fundatora.

Ale po cóż my mówimy o grobie i nieśmiertelności, skoro Ragib jeszcze żyje! Przecież opowiadamy o czasach, kiedy rządził sułtan Mustafa, kiedy oblicze pięknej Salihii było jeszcze tak świeżem, jak pył kwiatów lotosu, otwierających się przy porannym pocałunku słońca.

Mustafa nie mógł świetniej wynagrodzić Ragiba, jak ofiarując mu rękę swej siostry.

Dla należytego scharakteryzowania Ragiba dość będzie zaznaczyć, że miał on lat 59, gdy poślubił Salihię, i że ona tak go kochała, iż po jego śmierci wpadła w obłęd.

Ale znowu mówię o śmierci, podczas gdy Ragib żyje i panuje, nietylko nad osmanami, ale nad ich władcą, padyszachem, którego serce całkiem posiadł, mianowicie przez to, że jego myśli odgadywał.

Słowa te należy rozumieć literalnie.

Sułtan Mustafa miał zwyczaj przed położeniem się spać, w wielkiej, szmaragdami ozdobionej księdze zapisywać wypadki

Po przejrzeniu szeregów Izby francuskiej, której trzecia część odnowiła się nowymi ludźmi, gazety usiłują wywróżyć kierunek jej działalności. Ponieważ wyszedł z urny wzmocniony żywioł republikańsko-zachowawczy, więc przypuszczają, że znikną gwałtowne skoki naprzód, wymagające równie gwałtownych skoków w tył, że sporo ustąpi miejsca ładowi i prawidłowości, że działalność Izby będzie owocną i trwałą. Jednocześnie Spuller, przemawiając przed odsłoniętym dla Gambetty pomnikiem w Epineuse, gdzie słynny trybun spadł w balonie podczas oblężenia Paryża, zapowiedział, że rząd postawi mocne tamy zamachom na istniejący ustrój państwa, że dawna swoboda, która rodziła spiski i wichrzenia, będzie na przyszłość ograniczoną. Rzeczywiście śród przeciwników Rzeczypospolitej objawił się widoczny upadek ducha. Nie mówiąc o bulanżyzmie, który przeszedł do krainy cieniów, nawet monarchiści rozprawiają głośno o potrzebie pogodzenia się z koniecznością, czyli — Respubliką.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY KRAKOWSKIE.

Odwaga ukarana. — Lekarze gminni. — Otwarcie roku szkolnego w uniwersytecie przez rektora Korczyńskiego. — Kwestya żydowska, czyli rumiane jabłko, które ma w środku truciznę. — Siła przed prawem. — Towarzystwo muzyczne. — W oczekiwaniu. — Pierwszy zjazd chirurgów polskich. — Pożar. — Ruch budowlany.

Nowym przykładem swobody słowa jest konfiskata nakładu tutejszego *Kuryera*, której uległ on za przytoczenie słów Posła Prawdy o Galicyi. Nie wiemy, jaki był sens końcowy artykułu, lecz kiedy opowiadano mi, że autor usiłował dowieść coś wprost przeciwnego — rzecz ta zaczyna bawić.

Na większą szczerość i odwagę zanosi się w sejmie, gdzie posłowie zaczęli już ożywione pogadanki; jedynie wiara w liczny zastęp zdrowych rozsądków i zacnych ludzi tegorocznej kadencyi, ratuje nas od zwątpienia na widok ogromu spraw niezałatwionych i interesów naglących.

Podniesiona na nowo sprawa lekarzy gminnych, była przedmiotem wyczerpujących rozpraw komisyi zdrowotnej. Ustawa ta, dla kraju doniosła, w obecnem, wadliwem brzmieniu, nie może być wprowadzoną w zastosowanie, tem bardziej, że i rząd, mimo nadziei znacznych korzyści, nie chce przyczynić się do pokrycia wydatków.

Znając odporność ludu galicyjskiego wobec szczepienia jakiejkolwiek nowości, znając biurokratyzm władz wielkich i maluczkich i ten odmienny od wszelkich sposób podawania rzeczy, czujemy słuszną obawę, że lekarz gminny znajdzie się w trudnem położeniu. A szkoda, gdyż jest u nas mniemanie powszechne, że lekarz wiejski najłatwiej wpłynąć może na podniesienie oświaty, dobrobytu i umoralnienia ludu; niestety, przypisują mu powołanie apostolskie; to samo mniemanie powszechne odstrasza go zarazem grozą korzonków, którymi mialby się żywić. Że tak źle nie jest, pouczają przykłady lekarzy wiejskich w Królestwie. Nie uprzedzam wypadków, zwłaszcza gdy dowiaduję się, że referat w tej sprawie oddano rektorowi Korczyńskiemu.

Obecny rektor, otwierając rok szkolny w uniwersytecie, mową swą trafił do serc i przekonań młodzieży; patrząc na tę postać, zda się, że sił przybywa do pracy, a słuchając jego słowa, opartego zawsze na niewzruszonej podstawie, lgnie się do tej umiejętności, która bieżąc z postępem badań, nie ominęła cennej drogi etyki lekarskiej.

Bohaterem artykułu dziennikarskiego, który miał zrobić przewrót w świecie, był bar. Hirsch. Wiadomo, że namiestnictwo galicyjskie jest przeciwne darowi bogacza paryskiego; artykuł, ma być pochodnią, oświetlającą zgubną dla nas intrygę. I ujrzeliśmy Hirscha nie aryjczykiem, umiejącym ludzkość i kochać i dla niej się poświęcać, ale semitą, który nie dobro powszechne ma na oku, lecz potęgę swojego plemienia, dążącego przy pomocy *Alliance israélite* do panowania nad światem. I ujrzeliśmy obraz przyszłości: brudny żyd zamienił się w istotę cywilizowaną i tem samem wcisnął się w nasze społeczeństwo; wyuczywszy się rzemiosł przy pomocy kapitałów Hirscha, wydarł ludności tuziemczej młot, hebel i kielnię, zalewając Galicyę własnem partactwem. A wtedy rzemieślnik małomiasteczkowy zupełnie zniknie z powierzchni naszej prowincyi, jego zaś miejsce zajmie proletaryusz, spiskujący z socyalistami przeciw społeczeństwu, które mu chleba dać nie może, bądź też wzdychający do Ameryki. Człowiek, trzymający pochodnię, rozumuje: jeśli wolno postępowej Ameryce bronić się przeciw chińczykom, którzy jej klasie robotniczej zarobek wydzierają, jeżeli wolno radykalnej Rzeczypospolitej francuskiej walczyć wszelkiemi środkami przeciw monarchistom — to czemuż nam jednym miałby być wzbroniony protest przeciw wspaniałomyślnemu darowi? Protest ten brzmieć będzie dopóty, dopóki bar. Hirsch nie opuści wyłącznie semickiego stanowiska, zamilknie zaś z chwilą, w której miliony jego dostaną się w równej części żydom i chrześcianom a zarząd fundacyi z siedzibą w kraju, da rękojmię niespiskowania przeciw naszemu narodowi.

Czytelnicy, wszak załujecie, że w tej oto chwili zgasła pochodnia?

Idąc po ciemku, nie dziwnego, że potrąciłem p. Glücksohna; poznałem go po słodyczy głosu. Przeświadczony o swej znamienitej działalności, zażądał od sejmu dodatku do zapomogi w kwocie 4,000 złr.; niezawodnie ją dostanie, bo komisya znawców, wyrobiwszy sobie z jego pomocą smak, uzasadni i poleci prośbę. Równocześnie coraz częściej odzywają się głosy, podnoszące niekorzyści prywatnych przedsiębiorców teatru; uwidoczniło się to najlepiej, najjaskrawiej na naszej scenie.

W ostatnim liście wspomniałem o dymisyi zdolnego i pracowitego aktora p. Przybyłowicza; przedsiębiorca „odprawił" go w sposób bezwzględny i lekceważący, podając powód pierwszy lepszy — jak np. odmówienie przyjęcia roli trzeciorzędnej, co jednak aktor zastrzegł sobie w umowie. Było to na przedstawieniu *Potopu*, gdzie jakiś stróż, wynajęty na widowisko za kilkanaście centów, przebrany za rycerza, siedząc z innymi przy stole, powiedział za niego „vivat!" Wiem, że aktor wybitniejszy, jakim jest p. Przybyłowicz, czuł i rozumiał, iż przedstawienie roli choćby na pozór najlichszej powinno być wykonane przez udolnych artystów, teatr jednak musi być do tego odpowiednio zorganizowanym. Ale tu, gdzie niema na celu artystycznego podniesienia sztuki, jeno wypchanie kieszeni, gdzie brak kierownika, objaśnień, prób, oraz należytego składu osób, gdzie dyrekcya powierza bardzo często ważniejsze role maszynistom i posługaczom teatralnym, p. P. był zupełnie usprawiedliwionym, tem bardziej, że zastrzegł sobie zwolnienie od figurantcwa. Kiedy domagał się wynagrodzenia za doznany zawód, przedsiębiorca drwiąco kazał mu szukać sprawiedliwości sądu; tam też poszedł skrzywdzony i wniósł skargę.

---

dnia oraz swoje myśli i uczucia. Dla tej księgi przeznaczył osoby pokoik, gdzie ją codzień własnoręcznie zamykał wraz z ulubionym bisebanem, który ją tam strzegł przez noc całą.

Ktoby przypuścił, że głuchoniemy umiał czytać i to, co przeczytał, opowiedzieć?

Pokoik miał okrągłą dziurę w kierunku ku meczetowi Khas-Oda, tak osłoniętą wężowatym korytarzem, że można ją było dostrzedz tylko z meczetu serajowego.

Co wieczór, kiedy sułtan przybył z żoną do meczetu na modlitwę, muezzin uderzał młotem siedem razy w dzwonek bez serca, po czem stojący przed meczetem imam wykrzykiwał: „Ahamdu lillahi Rabbil alemin!" (Od Boga pochodzi łaska, on jest panem wszystkiego). Wtedy każdy padał twarzą na ziemię i tak pozostawał, póki sułtan nie doszedł do drzwi meczetu, o czem iman dawał znać, wołając: „Allahu ekbar!" (Bóg jest wielki).

I wszyscy powstawali.

Podczas tej krótkiej chwili padania na ziemię w okienku Khas-Ody można było dostrzedz rękę, która przed drugiem wołaniem wykonywała szczególne ruchy palcami i szybko znikała.

Nikt nie mógł tego zauważyć. Tylko Salihia, klęcząc ukryta we drzwiach meczetu, czatowała na te tajemne znaki, z których dowiadywała się szczegółowo wszystkiego, co sułtan wieczorem zapisał do swego dziennika i co jeszcze tejże nocy opowiedziała swemu mężowi.

Ragib był człowiekiem rozumnym, umiejącym korzystać z tych doniesień. Tą drogą odkrywał swych nieprzyjaciół i usuwał ich sobie z drogi; poznawał życzenia swego pana i uprzedzał je; cokolwiek robił dobrego, czynił w imieniu sułtana; blask i chwałę, które dla siebie zdobył, zlewał na niego, a nawet umiał Mustafę utrzymać w przekonaniu, że on sam rządzi, pocas gdy niedołężny monarcha był tylko manekinem w rękach swego energicznego doradcy i pozwalał wysławiać swe imię przy czynach, przy których nawet nie poruszył palcem.

Za wszystko, co Ragib sam robił, pod niebiosa podnosił sułtana; wychwalał go w swych poczynach za to, że raczył odwiedzić utworzone przez wielkiego ministra arsenały floty, i nazywał go mądrym za to, że państwo miało rocznie o 6 milionów więcej dochodu, co właściwie było jego zasługą.

I nietylko w Turcyi, ale w całej Europie wiedziano, że w Stambule rządzi nie Mustafa, lecz Ragib; nie wiedział o tem jedynie Mustafa.

* * *

Raz wszakże powiedzieli mu to wrogowie Ragiba: Hamil pasza, Bahir Mustafa i Mohamed Emin, którzy zazdrościli paszy jego władzy. Oświadczyli oni sułtanowi, że Ragib tylko na urągowisko nazywa go swym panem, gdyż wszystko wykonywa bez niego i kieruje losami państwa, jak gdyby był padiszachem. Teraz np. bez wiedzy sułtana z pewnym monarchą giaurów zawarł przymierze, które rzeczywiście przyniesie korzyść, bo jest wymierzone na szkodę innych niewiernych wrogów, ale sługa nie powinien nawet tego pozwalać sobie bez wiedzy pana, w obliczu którego jest tylko pyłem.

Fryderyk W., król pruski był właśnie tym, który ufając genialności Ragiba, zawarł z nim sojusz a odnośna umowa była już podpisaną.

Gdyby ona weszła w życie, może państwo tureckie jeszcze raz by się dźwignęło. Była to szczęśliwa chwila, która w życiu narodów raz tylko się zdarza.

Serce Mustafy oburzyło się na myśl, że w tak ważnej sprawie nie zwrócono się do niego, lecz do jego ministra. Skoro zdrajcy odeszli, nic rzekł do nikogo ani słowa, tylko kazał bisebanowi podać sobie dziennik i zapisał uczucia, które go wzburzyły. Następnie zamknął księgę wraz z głuchoniemym i udał się do meczetu na modlitwę wieczorną.

Miły obrazek; artysta nagle, nie zasłużenie pozbawiony sceny i chleba, bez grosza zapasowego w kieszeni, słyszy z za ściany teatru, jak znawcy oklaskują ograniczoną pannę, jego koleżankę za to, że w niemej roli, pokazała wymowny pieprzyk na karku. Szczęściem, dojrzewa tu plan, nieobojętny dla p. Glückssohna, który po p. Rapackim, zaprosił obecnie p. Ładnowskiego na trzy występy.

Publiczność szczodrze darząc oklaskami gości w teatrze, nie szczędziła ich na koncertach Paderewskiego, który występując z drugim koncertem na rzecz budowy domu Towarzystwa muzycznego, założył podwalinę pod instytucyę ze wszech miar użyteczną; dyrektor Towarzystwa, p. Barabasz, z dniem każdym wprowadza nowe ulepszenia; dziesięć koncertów rocznie — nie licząc na cele dobroczynne — to wieczory wysoce artystyczne; jego orkiestra amatorska złożona z 40 członków, wykonaniem w podziw wprawia; jemu tylko zawdzięczamy te czarowne chwile, któremi nas obdarzyła p. Szlezygier, Michałowski i Barcewicz. Pewni jesteśmy powodzenia koncertów w bieżącej porze, a żywimy nadzieję, że uda się dyrektorowi uprosić p. Szlezygier, którą publiczność tutejsza rada jak najrychlej powitać.

Pierwszy zjazd chirurgów polskich liczył 65 uczestników; obrady odbywały się w nowej a pięknej klinice, wykłady teoretyczne w auli uniwersytetu. Pomijając szczegółowe sprawozdanie, powiem, że chirurgia polska przedstawiła się znamienicie; wyczerpujące prace rozjaśniły niejedną wątpliwość, dostarczając zarazem cennych wskazówek praktyce. Sprowadzono odnośnych chorych, a gdzie tego nie można było zrobić, objaśniano fotografiami; preparaty drobnowidzowe d-ra Bujwida, Barącza i Wehra były wyborowe. Szereg zajmujących odczytów rozpoczął dr. Jasiński, a dr. Wehr mówiąc o zasadach udzielania pierwszej pomocy rannym w najbliższej wojnie, otworzył pole do zajmujących rozpraw, w których przedewszystkiem wzięli udział lekarze obyci z wojną. Przypominano dawne czasy chirurgii polowej, a na tle barwnych obrazów bitew występowała coraz wyraźniej dobroczynna postać postępu w nauce.

Prof. Obaliński, Rydygier, Browicz, Cybulski, Stankiewicz, Trzebicki, Bossowski, Zielewicz, Schramm, Steuermark, Dembowski — oto nazwiska najwybitniejszych prelegentów.

Zjazdy ponawiać się będą każdego roku a zawsze w Krakowie. Przewodniczącym stałym wybrano prof. Rydygiera, zastępcami prof. Obalińskiego i Stankiewicza, skarbnikiem doc. Trzebickiego, sekretarzami doc. Bossowskiego i Wehra.

Klęski pożaru nie przestają nas nawiedzać; najświeższą ofiarą jest Bobowa, miasteczko w powiecie grybowskim. Ogień powstał z kuczki i przy silnym wietrze szerzył się z taką gwałtownością, że miasteczko zgorzało do szczętu.

W Krakowie w ostatnich czasach wzmógł się ruch budowlany; powstają nowe, szerokie ulice o domach przeważnie ozdobnych. Towarzystwo gimnastyczne „Sokół" za pieniądze udziałowe wybudowało własny dom; wznosi się arsenał, a pp. Jakubowski i Jara zakładają fabrykę narzędzi platerowanych, w której pomieszczą 60 robotników.

Mor.

LISTY PETERSBURSKIE.

Petersburg, 15 października.

W ruskiem Towarzystwie technicznem p. Kozłow opowiadał szczegóły o zgonie Leroux. Powieść niedługa: wiatr uniósł balon na morze — i człowiek utonął. W poszukiwaniach winowajcy niektórzy wskazują na przedsiębiorcę, który woził aeronautę po Europie. Nie warto o tem mówić. Trzeba odróżniać Leroux, co ulepszył spadochron, od Leroux-skoczka, a wszystko da się pogodzić.

P. Nielidow zbadał i opisał stosunek izraelitów do miejscowej ludności na Litwie i Białorusi: jest to historya łanów, na które spadła szarańcza. Jeden z obrazów Wereszczagina przedstawia tryumfatora tygrysa, który po zamordowaniu w pustyni człowieka, legł i z dzikiem zadowoleniem patrzy na ofiarę. Jest to obraz pełen grozy, lecz tchnie pewną poezyą. Za to upoetyzować śmierć człowieka, ginącego od żarłocznych szczurów — chyba niepodobna.

Izraelski organ *Woschod* zamieścił wiadomość, że wszyscy synowie Abrahama mają zamiar przesiedlić się do Ameryki... Jak to? O Merkury, bożku przekupniów, zabiję na twym ołtarzu najlepszego cielca!.. Oho! zaraz do zabijania...

Uczeni dowodzą, że odziedziczamy zalety i porywamy naszych przodków; łatwo tedy przyjść do wniosku, żem miał przodków rzeźników; inaczej by mi nie przyszła chętka mordować cielę; potomek rycerzy w chwili radości czułby pochop do zabicia kogoś szlachetniejszego, a jakiś pra-prawnuk Gustawa postanowiłby sobie zniszczyć cały szczep narodu: podług stawu — grobla.

A jednak waham się wierzyć uczonym co do dziedziczności, gdyż musiałbym napisać, że rodzice większości naszych rodaczek — pseudo-arystokratek — pasały gęsi, albowiem tylko przy owej czynności człowiek uczy się patrzeć na wszelkie żyjątka z góry. Zresztą córom to czyni jeno chlubę: lepiej mieć mały szereg przodków hultajów, niż duży. Ot w kraju kontuszów, w owym przytułku dogorywających starców — wcale co innego! Tam są potomkowie bardzo znamienitych rycerzy, takich, że od cięć ich pałaszy dotąd nie możemy wyleczyć się. Jednak dla Galicyi niewielka pociecha: cień, padający od owych olbrzymów na łany, jest tak gęsty, że cały naród chodzi w wiecznym mroku. Z owej ciemni najwięcej korzystają nietoperze, oraz judejczycy i rzymianie.

Galicya i Galilea — jak równodźwięczne wyrazy! Jak wiele dają do myślenia!.. A czy nie jest to nowy obiecany kraj? Kraj faryzeuszów, sadeceuszów i innych doktorów kościoła; kraj Izraela, najezdców rzymskich i Piłatów umywających ręce?.. Kasztelani i wojewodowie — jak mniemacie?

Wypadkiem przeczytałem wielce ciekawą stronicę naszych dziejów:

Kiedyś narobiła wiele wrzawy pańskość pewnego p. Pr....., co to biorąc z swą narzeczoną p. S. ślub w Wenecyi, urządził całą maskaradę: szaty, kwiaty, ognie, strzały... całe tłumy dziewcząt z bukietami stały. W Warszawie i w Kijowie wznoszono dla nowożeńców pałace, a w jednym z majątków sam jako turysta miałem szczęście oglądać tak dziwny przepych, że nawet stajnie ozdobiono posadzkami marmurowo-mozajkowemi.

Skończyło się, jak zwykle, zupełną ruiną. Miliony w krótkim przeciągu czasu uleciały z wiatrem, a w dodatku pozostały łzy biedaków, którym możni państwo nie zapłacili długów.

W przeszłym roku pewien pan Jelski zgłosił się do byłej arcywielmożnej pani z prośbą, ażeby ustąpiła mu za pewne wynagrodzenie archiwa ruin; odpowiedzi nie otrzymał. W tym roku zaś dowiaduję się, że wszystkie papiery i księgi sprzedano żydom razem z innymi gratami. P. Jelski uwziął się i wydobył od przekupniów 100 pudów ciekawych szpargałów, które on nazywa „skarbem narodu."

Tegoż wieczora poruszająca się w okienku Khas-Ody ręka przesłała czatującej Salihii następujące słowa:

„Ragibie uciekaj! Sułtan dowiedział się, że prowadzisz układy z królem pruskim. Jutro masz być zabity a twoje papiery zabrane."

Odmówiwszy modlitwy, ze spokojnem sercem wrócił Mustafa do swych komnat. Sądził on, że sam tylko wie o swej tajemnicy i zamierzał dopiero rano posłać swych bostandżów do Ragiba, ażeby mu przynieśli jego głowę.

Ale gdy nazajutrz bostandżowie przybyli do Ragiba dla zabicia go z rozkazu sułtana, zamiast niego zastali trupa, którego już nikt zabić nie mógł.

Na stole w aksamitnej tece leżał list do sułtana, który przynieśli padyszachowi z doniesieniem, że Ragiba znaleźli nieżywym.

Treść listu była następująca:

„Mustafo! Bóg wszechmocny oznajmił mi nocy dzisiejszej, że chcesz mnie kazać zabić za to, że dla dobra kraju sprzymierzyłem się bez twej wiedzy z królem pruskim. Nie uciekłem przed śmiercią, lecz uprzedziłem ją; mam lat 65 i dosyć żyłem, aby umrzeć, i dosyć, aby nie być zapomnianym. Papiery, które spodziewałeś się znaleźć u mnie, spaliłem. Zobacz, coś twemu krajowi zrobił; przed obliczem proroka załatwimy resztę. Ragib."

Sułtan oniemiał ze zdziwienia i zgrozy. Kto mógł przeniknąć jego tajemnicę, tak starannie ukrytą?

Obwiniał dżynów, czarodziejskie sztuki indyjskich czarnoksiężników, samopiszące pióra, widzenia senne; o tem tylko nie pomyślał, co było najbliższem, że i niemy mówić może.

Kiedy sułtan sam chciał zawrzeć zamierzone przymierze z królem pruskim, ten mu odpowiedział: „Był w Turcyi rozumny człowiek, ale umarł; z głupcami zaś nie chcę mieć doczynienia." Mustafa dożył tego upokorzenia, że monarcha, który jego sługę uznał za godnego do zawarcia sojuszu, z nim, władcą wszystkich wiernych, królem królów, nie chciał nawet rozpocząć układów.

* *
*

Nieraz opłakiwał Mustafa swego wielkiego ministra i nakoniec wpadł w melancholię, gdyż nie mógł sobie wyjaśnić, jakim sposobem jego najskrytsze tajemnice przedostały się na zewnątrz.

Po tym wypadku bisohan nie zawiadamiał już swej dobrodziejki o myślach sułtana. Bo i w czyim interesie miałby to czynić?

Natomiast w krótkim przeciągu czasu widział na srebrnej tacy odcięte głowy trzech wielkich wezyrów, wystawione przed bramą seraju.

Pierwszą była głowa Hamida, który posiadał pieczęć państwa tylko przez sześć miesięcy; został stracony za głupotę, a kronika nic nie mówi o nim ani nic dobrego, ani złego.

Następnie poszła głowa Bahira Mustafy, którą mu odcięto za okrucieństwo.

Trzecim był Mohamed Emin, którego sułtan kazał zabić za tchórzostwo w bitwie.

Mustafa płakał przy śmierci wszystkich trzech ministrów, nie opłakiwał wszakże ich, lecz niezapomnianego Ragiba, który był tak mądrym, sprawiedliwym i mężnym. Głowa każdego z trzech wielkich wezyrów przypominała mu Ragiba.

Bischan zaś śmiał się po cichu. I głuchoniemi umieją śmiać się, gdy zostaną sami.

On jeden wiedział, co się stało.

W tych czasach poznajomiłem się bliżej z utworami dwóch ruskich pisarzów, o których jeszcze nie wspominałem w mych listach, a których imiona coraz częściej dają się słyszeć.

Zresztą... o noweliście Czechowie po tem, co powiedziano w nr. 37 *Prawdy*, nie wiele można dodać, chyba to, że charakter jego obrazów ma wielkie podobieństwo do utworów Lejkina: są to przelotne wrażenia, czasem rzewne, to znów — zręczne, lecz nigdy niedocierające do głębi uczuć, lub umysłu.

Pomówmy o Leskowie.

Dziwny zaiste los tego pisarza: jest to jedna z gwiazd dawnej plejady. Pierwsze jego utwory sięgają czasów rozkwitu literatury i w wielu okazach godne są swej epoki, lecz nad imieniem pisarza ciężył fatalizm.

W środku miasta jest cała dzielnica zajęta sklepami, a nazywa się *Apraksinym dworem* (dziedzińcem). Lat temu 20 wszystkie sklepy były drewniane i z powodów dotąd niezbadanych, zaczęły się tam pewnego upalnego lata gwałtowne pożary, które zmiotły ową dzielnicę. Przyczyna mogła być najnaturalniejsza — nieostrożność; lecz wzburzona wyobraźnia szukała czegoś zagadkowego. Snuły się rozmaite pogłoski o podpalaczach. Przypisywano winę samym kupcom. Konserwatywny obóz wyrzucał postępowcom, że ich idee burzą społeczny porządek, przyczem Aksakow wyraźnie orzekł, że mianowicie te prądy wytworzyły podpalaczy.

Takie *dictum*... wywołało niezmierne oburzenie, a przedewszystkiem słuszne; tego bowiem, co motłochowi szeptała rozpacz, żaden obóz nie mógł uważać za prawdę, a tembardziej nie godziło się dla swego pojedynku ostrzyć na tym kamieniu mieczy.

Leskow nieostrożnie powtórzył myśl Aksakowa — nieostrożnie, to bowiem, co uszło na sucho pisarzowi mającemu imię i siłę, początkującego literata prawie zgubiło. Żaden z wybitniejszych organów nie przyjmował jego prac, a o zamieszczonych gdzieś indziej ani wspomniano. Dopiero po 20 latach zaczęto uważnie czytać i przekonano się, że jest to pisarz, osobliwie przy teraźniejszej posusze, wybitny; że niektóre z jego utworów wcale nie pachną rutyną — jak dawniej surowi 18-letni krytycy rozgłaszali—że ma styl zwięzły, trochę satyryczny i bynajmniej nie zaszargany.

Zupełne wydanie dzieł tego pisarza wyszło w tym roku i ma znaczny popyt.

N. B.

O BIEDZIE POWSZECHNEJ.

Przesilenie, które od lat blizko piętnastu dotkliwie zaciążyło na stosunkach ekonomicznych w Europie i Ameryce, wywołało i wywołuje liczne rozprawy teoretyczne, poświęcane zbadaniu jego przyczyn i wynalezieniu najodpowiejszych środków zaradczych. Obok tego i rządy państw, ze względu na coraz większą trudność prawidłowego zbytu towarów, wobec bezprzykładnego wzrostu zewnętrznej i wewnętrznej konkurencyi i idącego zatem nadzwyczajnego obniżenia się cen— podejmowały wyczerpujące prace w tym kierunku. Przedsiębrano je we Francyi w r. 1879 i 1883 (Comission extraparlementaire pour étudier la crise ouvrière), w Anglii w r. 1885 (Royal Commision appointed to inquire into the Depression of Trade and Industry), w Belgii i Stanach Zjednoczonych Ameryki w r. 1886, w Niemczech począwszy od r. 1875, aż po dzień dzisiejszy (socyalizm państwowy, cła ochronne, zabezpieczenie losu robotników itp.).

Wszystkie te usiłowania atoli nie doprowadziły do żadnych stanowczych rezultatów, a bieda ogólna wciąż trwa jeszcze. Co więcej, jeden z wybitniejszych na tem polu pisarzy niezbyt różowe i dla przyszłości stawia wróżby. Mniema on, iż pomimo nawet współdziałania państwa, społeczeństwa i wszystkich uczestniczących kół prywatnych, dla polepszenia dobrobytu powszechnego nie da się osiągnąć nic więcej, prócz zbliżenia do wielkich ideałów gospodarczo-społecznych. „Ostateczne bowiem— jak się wyraża — rozwiązanie zagadnień ekonomiczno-społecznych, podobnie, jak i wszystkich innych pytań najgłębiej poruszających umysł i serce ludzkie — na zawsze w szarą dal się usuwa." (Dr. C. *Wasserrab. Preise und Krisen.* Stutgart, 1889).

W tej sprawie zabrał świeżo głos znany ekonomista niemiecki Brentano, następca Roschera na katedrze ekonomii politycznej w uniwersytecie lipskim *).

Pierwszą i ostatnią przyczyną dzisiejszej biedy socyalnej jest, według niego, niepewność w życiu ekonomicznem, wytworzona skutkiem nowoczesnej zależności przemysłu wszystkich krajów pojedynczo wziętych od rynku wszechświatowego. Rzemiosło średniowieczne produkowało głównie dla rynku miejscowego. Rynek ten zabezpieczony był w miarę jak na to pozwalały ówczesne stosunki przewozowe i prawne, a potrzeby jego łatwo mogły być obliczone. Wprawdzie tam, gdzie rękodzieła do szczególnej doszły doskonałości, produkowano i dla zbytu zagranicznego. Ale zbyt ten opierał się przeważnie na przywilejach, jakie obywatelom miast udzielali obcy książęta. Kupiec średniowieczny mógł towar swój po wygórowanych sprzedawać cenach, które, jeśli towar był dobry, o wiele przenosiły koszta jego wyrobienia. Mógł też sowicie opłacać rzemieślnika, a ten znów spokojnie znosić wszelkie podrożenia produkcyi. Inaczej w państwie nowożytnem, które dla urzeczywistnienia swoich celów obrało tak zwany system merkantylny. Tu dążeniem pierwszem stało się wytwarzanie w kraju wszystkiego, co mogło być w nim zapotrzebowanem. W tej myśli cofnięto wszystkie udzielone kupcom cudzoziemskim przywileje. Drugie dążenie skierowane było ku jaknajwiększemu zbytowi wytworów swojskich za granicę. Stąd, zamiast dotychczasowej, przez zwyczaje i przywileje uporządkowanej sprzedaży na rynkach pewnych, powstała zacięta konkurencya na rynku wszechświatowym. Wraz z nią nietylko zaczyna się szalona gonitwa za zmniejszeniem kosztów produkcyi i stagnacye zbytowe z nieodzownie im towarzyszącemi: zatratą kapitału i brakiem pracy, nietylko zapada się cała dawniejsza organizacya przemysłowa; lecz współzawodnictwo to właśnie i dziś jeszcze jest najgłówniejszą przeszkodą, ku wszelkiemu głębszemu polepszeniu stosunków robotniczych i powodem trudności pogodzenia produkcyi krajów rozmaitych z falującemi wciąż zapotrzebowaniami rynku powszechnego.

Przy tej sposobności Brentano zwraca uwagę na szczegół charakterystyczny i uderzający, mianowicie że Marx ani razu nie wspomina o zależności przemysłu nowoczesnego od rynku wszeświatowego, a nawet odwraca przyczynowy pomiędzy nimi związek, mówiąc, że „rynek wszechświatowy został przez wielki przemysł stworzony," podczas kiedy rzecz ma się wprost przeciwnie. Charakterystycznem to jest dlatego, iż Marx wszędzie w teoryi swojej zapomina o wpływie, jaki na życie ekonomiczne wywiera brak popytu; uderzającem — gdyż przesilenia w skutek właśnie tego braku wynikłe, najważniejszą odgrywają rolę tak przy określeniu następstw dzisiejszej organizacyi ekonomicznej, oraz przy uzasadnieniu wymagań socyalno-demokratycznych. Skoro tylko bowiem przemysł na większą skalę wpleniony zostaje w gospodarstwo wszechświatowe, wraz z większą nieobliczalnością rynku wynikają względne nadprodukcye i zastoje zbytowe. Następuje nagłe, niezwykłe zniżenie się cen oraz kredytu i powstaje przesilenie, tj., owa chwila stanowcza, w której się ujawnia, kto z pracodawców stoi, a kto upada, kto z pracowników nadal ma zajęcie, a kto pozostaje bez chleba. Przesilenia te dotychczas powtarzały się z przybliżoną peryodycznością. W zeszłem stuleciu nastąpiły w latach 1753, 1763, 1772 lub 1773, 1783 i 1793. W wieku bieżącym: 1815, 1825, 1836—9, 1847, 1857, 1866 i 1873. Przesilenia te wciąż większe przybierały rozmiary tak pod względem natężenia, jak trwałości, od czasu zaś spadku cen towarów na rynku wszechświatowym przed laty piętnastu, produkcya krajów ucywilizowanych znajduje się w stanie chronicznego cierpienia.

Brentano tedy zapytuje: „Więc gdzież tedy szukać lekarstwa?" „Jeśli nie w głowach teoretyków — powiada — to może w życiu." „Podczas bowiem, gdy teoretycy najrozmaitszych kierunków napróżno wysilali mózgi swoje, w życiu, z potrzeb praktyki wytworzyła się organizacya podobnież mająca na celu usunięcie zastojów zbytowych i ich następstw. Organizacyą tą są ugody kartelowe." Pod tą nazwą rozumie nie koalicye, w rodzaju rozprysłego niedawno przy wtórze powszechnej zgrozy pierścienia miedzianego. Koalicye te — to zmienne posunięcia na szachownicy interesu ze strony spekulantów, osób, które kupują jedynie dlatego, żeby natychmiast odsprzedać. Zostają one do konwencyj kartelowych w takim stosunku, jak spekulacya do wytwarzania. Konwencye kartelowe są to zjednoczenia producentów, które za pomocą z góry ułożonego przystosowywania produkcyi do popytu dążą ku zapobieżeniu nadprodukcyi i w ślad za nią idących następstw zgubnych: spadku cen, bankructw, depresyi kapitału i odprawiania robotników. Urzeczywistniono już je w kilku gałęziach wielkiego przemysłu w Niemczech, cele zaś swe osiągają przez zapewnienie wyrobom swojskim cen takich, które umożliwiają dalszy ich rozwój — z jednej i rozdzielenie zbytu całego pomiędzy pojedynczych wytwórców, stosownie do ich zdolności wytwórczej, dla zapobieżenia obniżaniu cen przez współzawodnictwo wewnętrzne — z drugiej strony. A nadto, aby ubezpieczyć jaknajdokładniejsze wykonywanie umów w miejscowościach, w których organizacye pomienione do największej doszły doskonałości, pojedyncze firmy, do związku należące, zrzekły się wszelkiego prawa samodzielnej sprzedaży ogółu produktów swoich i sprzedaż tę, tak dla zagranicy, jak i na potrzeby krajowe, powierzyły jednemu zakładowi ogólnemu. Tym sposobem oddzielne fabryki przestały prawie być przedsiębiorstwami samodzielnemi i przybierają niemal charakter warsztatów pracujących dla jednego wielkiego centrum przemysłowego. Wobec takiego porządku rzeczy — jak wyjaśnia dalej Brentano— interes własny producentów i ich gospodarowanie na korzyść lub stratę własną i nadal pozostaje podstawą ustroju ekonomicznego. Kartele bowiem nie powierzają produkcyi płatnym urzędnikom, jak tego domagali się socyaliści. Niema więc niebezpieczeństwa, aby gospodarstwo narodowe wśród rutynicznego przebiegu zdążało do tych samych, albo gorszych jeszcze, niż dzisiejsze, stosunków. Ani produkcya na własny rachunek, ani konkurencya bynajmniej nie zostają usunięte. Tylko, że ta ostatnia ku innym celom jest skierowaną. Podczas, gdy dotychczas jedynem jej dążeniem było za pomocą postępów technicznych brać górę nad przedsiębiorstwami pozostałemi, zniszczyć je i wytwarzanie własne tak rozszerzyć, iżby na rynku zyskało stanowisko przeważające — obecnie zapewnia się nawet dalszy byt współzawodnikowi, a cała konkurencya zmierza ku temu, aby przy pomocy ulepszeń technicznych i gospodarczych pod-

*) *Ueber die Ursachen der heitigen socialen Noth.* Lipsk, 1889.

wyższą różnicę pomiędzy ceną ustanowioną, a kosztami produkcyi indywidualnej, to jest aby podnieść zysk. Kartele biorą także w rachubę i drugą zasadniczą podstawę współczesnej organizacyi ekonomicznej, zależność przemysłu dzisiejszego od gospodarstwa wszechświatowego. W granicach mianowicie przez cła ochronne zakreślonych ceny stają się tak wysokie, iż zbyt krajowy sam jeden w całości pokrywa główne koszty przedsiębiorstw. Nakłady więc, które zwrócić powinny produkty wywiezione, składają się wyłącznie z niewielkiej stosunkowo przewyżki surowego materyału i płac użytych specyalnie na wytworzenie tych produktów.

Na podstawie wszystkich tych danych Brentano dochodzi do wniosku, że umowy kartelowe, zabezpieczając przemysł krajowy przed skutkami konkurencyi wewnętrznej i zewnętrznej, chroniąc od nadprodukcyi i zastojów zbytowych i, nie zmuszając przedsiębiorców do usuwania robotników dla braku popytu — same jedne z czasem zdolne będą zażegnać wszelkie dolegliwości obecnego ustroju gospodarczego. Obok tego jednak wskazuje i niebezpieczeństwa, jakie organizacye te kryją w swem łonie tak dla publiczności, jak i dla robotników i wyraża nadzieję, że rządy i prawodawstwo potrafią je skutecznie odwrócić. Zachodzi mianowicie obawa, aby zjednoczone przedsiębiorstwa przemysłowe monopolu swego na rynku krajowym nie użyły na szkodę i wyzyskiwanie spożywców, jak również na to, aby robotnik wydalony z powodu nieporozumień z pracodawcami, solidarnie z sobą związanymi, nie był zmuszany napróżno gdzieindziej kołatać o przyjęcie i — umierać z głodu. Pod pierwszym względem — zdaniem Brentana, dla usunięcia nadużyć wystarczy zagrożenie ze strony rządu redukcyą ceł ochronnych. Co do drugiego — skuteczną radę widzi w należytem rozwinięciu przepisów, mających na celu zabezpieczenie losu robotników, a zwłaszcza w unormowaniu warunków umów o najem pracy przez ustanowienie sądów pojednawczych.

„Czyliż, kończy, zjawisko to nie przekonywa nas raz jeszcze, że zadaniem teoryi nie może być kształtowanie życia, ale obserwacya i zbadanie zasad jego rozwoju, w celu kierowania niem zgodnie z temi zasadami? I czyż nie przekonywa nas ono raz jeszcze, jakie zasługi położył Wilhelm Roscher tem właśnie, że zadanie to obrał za program dla historycznego gospodarstwa społecznego? Pozostańmy wiernymi temu programowi, bo on i tylko on da nam możność rzetelnego przysłużenia się nauce, ojczyźnie i ludzkości.“

Uwagi krytyczne o tych wywodach zamieściła *Prawda* w jednym z numerów poprzednich.

Ad. J. Cohn.

ZJAZD ORYENTALISTÓW
w Sztokholmie i Chrystyanii.

I.

Przeszło ćwierć wieku temu po raz pierwszy zgromadziło się w Paryżu szczupłe stosunkowo grono znawców wschodu i nazwało się *Zjazdem oryentalistów*. Nazwa ta nie zupełnie była właściwą, bo objęto nią nietylko *oryent* właściwy, lecz wszystkie cywilizacye nieeuropejskie, więc afrykańską, australską itd. Postanowiono udzielać sobie wiadomości, dotyczących dziejów, cywilizacyi, sztuki, wierzeń i wogóle wszelkich objawów życia duchowego i cielesnego wszystkich plemion, które nie brały udziału w wielkim pochodzie cywilizacyi naszej, z wyłączeniem krajowców Ameryki, którzy stali się przedmiotem oddzielnych kongresów tak zwanych *amerykanistów*.

Tak obszerny zakres badań nie mógł oczywiście zawrzeć się w obradach jednego grona; zaraz więc na pierwszym kongresie r. 1872 podzieliło się ono na wydziały, utworzone przeważnie na podstawie geograficznej; powstały tedy tak zwane sekcye: aryjska, semicka (podzielona na arabską i niearabską), afrykańska (wraz z egiptologią), średnio i wschodnio-azyatycka, wreszcie malajsko-polinezyjska.

Drugi zjazd wschodoznawców odbył się r. 1874 w Londynie; trzeci 1876 w Petersburgu; czwarty 1878 we Florencyi; piąty 1881 w Berlinie; szósty 1883 w Lejdzie; siódmy 1886 w Wiedniu i nareszcie ósmy w roku bieżącym, w Sztokholmie i Chrystyanii, od 2 do 12 września.

Postanowilem o tym ostatnim słów kilka napisać, pragnąc, ile to jest dziś już możebnem, dać pewne wyobrażenie o pracach i owocach jego, jak również o osobach, które do Skandynawii na zaproszenie króla szwedzkiego na kongres podążyły. Szkic mój nie może być dokładnym i wyczerpującym, gdyż czytane na zjeździe rzeczy wydrukowane będą dopiero w ciągu trzech lat następnych, a także ponieważ członkowie zjazdu, podzieleni na sześć gromad, debatowali jednocześnie, piszący te słowa przeto na jedem tylko z sześciu posiedzeń mógł być obecnym.

I.

Zjazd składał się z trzech widocznie różnych żywiołów. Wydzielali się zeń nasamprzód rysami, cerą i ubiorem synowie wschodu: arabowie afrykańscy i azyatycy, indowie, persowie, turcy, japończycy i malajczycy; było ich ogółem ze czterdziestu i oni to stanowili główną, że tak powiem, attrakcyę dla tłumów, które zarówno gościnnie jak ciekawie witały przybyszów do ziemi skandynawskiej. Złośliwy pewien francuz, jeden z najuczeńszych członków zjazdu, nazywał ich *menażeryą* kongresu i kazał ich zawsze naprzód wysuwać. Byli to ludzie grzeczni, dobrze wychowani i bardzo w swoich zawodach uczeni, ale odznaczali się dziwną niekrytycznością umysłów, wyjąwszy chyba japończyków, którzy już pojmować zaczynają tę alfę i omegę cywilizacyi europejskiej, krytykę historyczną i pojęciową.

Oto okazowy przykład niekrytyczności azyatów. Jeden z nich i to podobno najuczeńszy z pandytów indyjskich, miał długi odczyt o jakimś podręczniku arytmetyki, napisanym po sanskrycku. Szukał źródła jego w epoce przedchrześciańskiej, upatrywał paralleli i zapożyczeń w pismach Euklidesa i Arystotelesa, rozwodził się nad genialnością plemienia indyjskiego, które nietylko naukę arytmetyki stworzyć miało, ale od razu ją znakomicie usystematyzowało i nazwami technicznemi wzbogaciło. Po skończeniu długich wywodów indyanina i po rzęsistych dłoń oklaskach, wiedeński profesor sanskrytu Bühler prosi o głos i w kilku słowach ni obraca cały odczyt poprzednika: owa arytmetyka starożytna jest poprostu tłomaczeniem jakiegoś podręcznika angielskiego, sporządzonego w w. XVIII...

To samo dało się zauważyć i w odczytach historycznych, mianych przez arabów: zupełna nieobecność krytyki, zupełna niezdolność do odróżnienia legendy od faktu dziejowego, zupełny brak zmysłu do ustawienia, zestawienia i pogodzenia różnobrzmiących podań historycznych. Ci uczeni wschodni przechodzą obecnie ten okres umysłowości, który się ciągnął w Europie przez całe wieki średnie i wydał ród kronikarzy i scholastyków; u nas światło krytyki od trzech wieków rozwiało, a przynajmniej rozwiewa mgłę bajeczności i ślepej wiary; u nich epoka owa trwa jeszcze i czeka na przewrót w głowach; spodziewać się należy, iż szkoły europejskie, rozsiane po całym świecie wśród plemion niehistorycznych, otworzą tam umysły, a zjazdy również dzielnie temu dopomogą.

Drugą grupę kongresu stanowili dyletanci. Do Skandynawii przybyło ich sporo, daleko więcej, niż na zjazdy poprzednie. Chęć poznania mało zwiedzanych krajów w miesiącu najlepiej wycieczkom sprzyjającym ściągnęła przeszło stu anglików i amerykanów, których studya oryentalistyczne ograniczały się znajomością pierwszych zasad sanskrytu, wymaganą do służenia w kompanii indyjskiej, lub kilkoletnim pobytem w Indyach albo Egipcie.

Trzeci i najliczniejszy zastęp członków składał się z około dwustu profesorów i uczonych z rozmaitych krajów; ci stanowili właściwe ciało kongresu i przeważnie uczestniczyli już w poprzednich.

Wymienię tu ze dwudziestu najznakomitszych. Najwięcej uwagi i ciekawości zwracał na siebie sławny Maks Müller; przewodniczył on sekcyi aryjskiej i kilkakrotnie przemawiał; szczególnie zajmującym był odczyt jego o wpływie cywilizacyi europejskiej na stan umysłowy i wyobrażenia religijne indyanek azyatyckich. Skreślił on dzieje trzech braminek, które się zapaliły do pojęć europejskich i przypłaciwszy zapał ten bardzo smutnemi starciami z otoczeniem swem indyjskiem, musiały szukać w Europie przytułku i pomocy. Głośny zwolennik Müllera, profesor włoski De Gubernatis miał też parę zajmujących odczytów z mitologii. Egiptolog Brugsch, później Brugsch-bej, a obecnie Brugsch-basza, wysoki urzędnik w Egipcie, opisywał zwyczaje pogrzebowe staroegipskie, pokazując przytem mumię z grobu egipskiego wydobytą. Bardzo czynnym i przy każdej sprawie, dotyczącej sanskrytu, przemawiającym był profesor wiedeński Bühler, nauczyciel i przyjaciel naszego Hanusza. Obecnymi i czynnymi też byli: Deussen, znawca filozofii staroindyjskiej, z Berlina; sławny podróżnik Euting; asyryolog F. Hommel; Haupt, młody profesor młodej wszechnicy w Baltimore, delegat bogatego zakładu Smithsonowskiego; de Goeje, holender, autor znakomitego opisu Mekki; Halévy, profesor paryski, o którego sporach z kolegą jego Oppertem w sprawie języka akadyjskiego powiem dalej; Kern, sanskrycista z Lejdy; Kielhorn, Kuhn i Leumann z Niemiec; Dawid Muller, profesor języków semickich z Wiednia, rodem z Galicyi, mówiący po polsku; utyskiwał on przede mną na brak hebraistów w Polsce i zachęcał, aby mu do Wiednia przysłano młodego a zdolnego ucznia polaka, którego-by mógł wykształcić na semitologa; byłoby to nader pożądanem, ze względu na to, iż nie mamy nikogo, ktoby tę gałąź wiedzy uprawiał, a D. Müller pierwszorzędną jest w niej znakomitością; mówią o nim znawcy, że jest założycielem krytycznej gramatyki porównawczej semickiej; wspomnę jeszcze następne nazwiska: Reinisch, Sayce, Schiaparelli, Jan Schmidt, Schröder, Spiegel, Weber; każde z nich dobrze jest znanem w świecie naukowym.

Z Rosyi było kilku: widziałem starego Gottwalda z Kazania, Chwolsona, który przewodniczył w sekcyi semickiej nie-arabskiej; wreszcie kilku uczonych ormian, jak d'Esoffa, Amirchanianca i in.

Z Czech byli w różnych sekcyach profesorowie uniwersytetu niemieckiego: Ludwig i ks. Schneedörfer, obaj doskonale mówiący po czesku, oraz młody profesor wszechnicy czeskiej, Dworzak.

Z naszych rodaków, prócz mnie, nikogo nie było. Ani Akademia krakowska, ani uniwersytety krakowski i lwowski nie dały znaku życia. W Wiedniu r. 1886 byli ś. p. Hanusz, profesorowie M. Sokołowski i Straszewski z Krakowa, p. Bron. Hirszband, naówczas uczeń Bühlera. Ten ostatni miał zamiar być w Sztokholmie, lecz ważne przeszkody wstrzymały go niestety.

(D. n.).

Jan Karłowicz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

SPÓR KOLEJOWY.

Pomiędzy drogą Warszawsko-Wiedeńską a Iwangrodzko-Dąbrowską toczy się obecnie spór, którego rezultaty o tyle są przewidziane, że według wszelkiego prawdopodobieństwa rozstrzygnie go władza. Mianowicie druga z tych kolei, mająca dochód gwarantowany przez rząd, wymaga od pierwszej ustąpienia części przewożonego węgla lub też otrzymywanej za ten przewóz zapłaty. *Now. Wremia*, które oręduje za drogą Dąbrowską, uzasadnia jej pretensye następującym wywodem:

Kolej ta przebiegająca po terytoryum wspólnem z W.-Wiedeńską, pobiera 2,300,000 dopłaty rządowej, podczas gdy jej sąsiadka daje akcyonaryuszom wysoką dywidendę a za transport węgla otrzymuje 3,200,000 rs. rocznie. Koniecznym więc tu jest podział zysków między obie współzawodniczki, który o tyle słusznie może być nakazanym, że dla drogi W.-Wiedeńskiej minął już czas zakreślony posiadania prywatnego i rząd w każdej chwili może ją skupić. Ponieważ zaś kolej Dąbrowska nie posiada dostatecznego taboru (węglarek) i musi w Iwangrodzie odstępować swój ładunek Nadwiślańskiej, więc słusznie — według *N. Wremia* — żądać może nie ustąpienia jej części węgla, ale przypadającej za przewóz gotówki.

Jakkolwiek gazeta petersburska uzasadnia roszczenia kolei Dąbrowskiej prawnie i moralnie, nam się zdaje, że trudzenie kodeksu i etyki jest zbytecznem a nawet ryzykownem. Kwestya rozwiązuje się daleko prościej: skarb chce usunąć niedobór drogi, której dochody poręczył, więc drogą nakazu, tj. podziału transportów węgla je zwiększa; nadto p. minister finansów oświadczył, że akcye drogi W.-Wiedeńskiej są obecnie za drogie a skup ich nastąpi wtedy, gdy ich kurs spadnie, co przy zmniejszonym przewozie węgla niewątpliwie nastąpi. Jest to więc operacya państwowo-finansowa, którą *N. Wremia* niepotrzebnie przenosi na pole moralistyki.

Według *Kuryera Warszawskiego*, w prowadzonych obecnie układach kolej Dąbrowska żąda ustąpienia jej 43% transportów węgla, z których dochód mniej więcej wyrównywa jej niedoborowi. Prawdopodobnie tyle mniej więcej otrzyma i odpowiednio tej stracie zysków spadnie kurs akcyi W.-Wiedeńskiej.

BADANIA NAUKOWE.

ZASADY EKONOMIKI
(W. Załęskiego).

II.

Jak rzekliśmy przy rozbiorze ustępu o podziale pracy w zakładzie, przeszłe stulecie i obecna chwila plączą się u p. Z. na każdym kroku. Pod tym względem zbywa mu zupełnie na zmyśle historycznym. „Mięso“ dziejowe wszędzie zastąpione zostało przez cytaty i streszczenia z autorów, zwroty zaś istotne przedstawione są w świadectwach u ekonomistów ówczesnych. Systemy ekonomiczne są tutaj burzycielami dawnych porządków; podobnie dawne poglądy tracą swoją wartość nie dlatego, aby życie wyłoniło nowe stosunki, lecz ponieważ jakiś teoretyk poddał je krytyce. Czytamy, że ujemnych stron systemu merkantylnego szukać należy w dopomożeniu do zaprowadzenia systemu opieki rządowej i absolutyzmu państwowego, cała zaś zasługa polega na obaleniu średniowiecznego gospodarstwa naturalnego (str. 43). Jak idea merkantylna wyłoniła się w kantorze kupca lub lichwiarza państwowego, dlaczego jedynie była w owym czasie możliwa, jak szerząca się wymiana wewnątrz kraju niszczyła gospodarstwo naturalne i na plan pierwszy wysuwała przekupniów, jak wreszcie wraz z rosnącą wymianą i rozkładem staroczesnych porządków rosły doktryny merkantylistów, o to daremnie pytalibyśmy książki p. Z.; znajdujemy, że zastosowanie doktryny sprowadziło upadek dawnych stosunków a wzmocnienie centralizacyi, lubo wszystkie te trzy objawy były tylko współrzędnymi objawami ówczesnego rozkładu społecznego, który odbywał się pod wpływem czynników zbyt złożonych, abyśmy mogli go tu rozbierać. Podobnie zdaniem p. Z. rozwój miast przypisać należy reakcyi przeciwko systemowi feudalnemu i pociągowi do stowarzyszeń, tkwiącemu w naturze człowieka! (str. 39). Przypomina mi to zdanie, że opium upaja, ponieważ ma zdolności upajające. Miasta powstawały pod wpływem stosunków wymiennych przy drogach komunikacyjnych (rzekach), gdzie dzięki opiece możnych panów feudalnych (i klasztorów) handlujący mogli znaleźć opiekę, i na razie były zaprzeczeniem stowarzyszenia, gdyż chaotycznie gromadziły ludność, która uciekała ze spółkowin rolnych przed uciskiem i zbierała się w miastach odosobniona i w rozproszeniu (Maurer). Wzięliśmy dwa przykłady; gdyby chodziło o liczbę, znalazłoby się więcej. Przy takiem pojmowaniu, w historycznym szkicu systemów ekonomicznych znikło zupełnie podścielisko klasowe. Że systemy ekonomiczne są dzieckiem interesów dnia, że krytyka jednych doktryn przez inne jest teoretycznem odzwierciedleniem walki pomiędzy różnemi odłamami społeczeństwa, wszystko to zostało nieuwzględnione. Ekonomika już była namiętną kobietą oddającą się bez zastrzeżenia pewnej grupie interesów społecznych; to znowu sprzedajną prostytutką, która na żołdzie jednego okłamywała innych. Tymczasem u p. Z. staje się Faustowskim Wagnerem, który każde słowo gotów wziąć za dobrą monetę... Nic dziw, że w rozwoju systemów ekonomicznych u naszego pisarza istnieją tylko książki wydrukowane; poglądy Careya są tylko gabinetową krytyką doktryny Rikardowskiej, Bastiat usiluje jedynie szerzyć zdrowe poglądy... Naturalnie, wszystko to doszczętnie jest odarte z krwi i mięsa. Weźmy jeden przykład — Fouriera. „Fourier przyznaje, że ziemia w stanie obecnym nie jest jeszcze zdolną do dostarczenia koniecznych podstaw szczęścia i dlatego marzy o 80,000 lat istnienia, na początku których zaledwie jesteśmy... Żyjemy obecnie w okresie młodości, który trwa 5,000 lat i składa się z 7 podokresów następujących: rajskiej przeszłości, dzikości, patryarchalności, barbarzyństwa, oswiaty, stowarzyszenia i nakoniec zwykłej społeczności. Po tym pierwszym okresie następują dwa nowe, każdy po 35,000 lat, wzmagającego się i następnie cofającego szczęścia, którego okres kulminacyjny stanowić będzie 8,000 lat.“ Nic tu nie przeinaczono, a jednak przedstawienie p. Z. tyle podobnem jest do prawdy, co pachnidło, z którego woń wywietrzała, do pierwotnego swego stanu. Fourier mianowicie wychodzi z założenia, że pierwotna przyroda odznacza się obfitością zasobów i bogactw, lecz człowiek jest niedołężny umysłowo i technicznie. Nie może on wyzyskać istniejących źródeł, a zatem mnóstwo popędów pozostaje niezaspokojonych. Pomiędzy ludźmi musi więc przyjść do starcia; stąd konieczność wyzysku, walki. Niektóre jednostki wysuwają się naprzód i innych zmuszają do pracy na siebie, same zaś, wolne od trosk codziennych, gromadzą zasoby wiedzy i techniki. Dzięki temu człowiek coraz bardziej utwierdza swe panowanie nad przyrodą. Wreszcie praca jego dochodzi do takiej wydajności, że zaczyna starczyć na opędzenie potrzeb u coraz liczniejszych rzesz ludu. Przypuśćmy, że stół nakryto na 10 osób, tymczasem jest 100 głodnych. Konieczną jest walka. Lecz w miarę postępu umysłowego i właśnie dzięki jemu nakryć zjawia się więcej, aż wreszcie jest ich tyle, ilu łaknących. Nastaje chwila solidarności. Ale technika ludzka nie ustanie; zdobędzie ona 200 i więcej nakryć, chociaż kandydatów będzie 100. Po co wtedy walka? Solidarność i braterstwo będą podstawą społeczną. Jest to okres najwyższego szczęścia wśród ludzkości. Jednak siły przyrody ziemskie, wciąż wyzyskiwane, muszą się wyczerpać. Wiedza nie pokryje tego braku, bo może przetwarzać, lecz nie stwarzać. W miarę wyczerpywania rozognia się dawna walka, i ludzkość przez egoizm cywilizacyjny znów wraca do barbarzyństwa i dzikości i zamiera wraz z śmiercią złodowaciałej planety... Jest to nadzwyczaj śmiały i szeroki pogląd. Cóż zeń pozostało u p. Z.? Kto w Fourierze naszego ekonomisty poznałby tego genialnego marzyciela? Co w jego wywodach jest drugorzędnem (trwałość oddzielnych okresów), to właśnie p. Z. wysuwa naprzód; o najważniejszem natomiast zamilcza. A jednak w ten sposób napisana jest cała historya ekonomiki. Często zamiast „streszczeń“ w powyższym rodzaju (powiedzmy śmiało: kastracyj) są przytoczone tytuły dzieł autorów... Dochodzi do tego, że u p. Z. można by jeden kierunek lub pisarza przesadzić na inne miejsce, a tok opisu historycznego nie poniesie uszczerbku. Będzie nieścisłość chronologiczna, lecz nie przerwa w wykładzie logiki dziejowo-ekonomicznej. Weźmy chociażby dzieje komunistów i socyalistów. Kierunki najsprzeczniejsze i wprost w swych założeniach wrogie po bratersku idą po sobie w chaotycznem pomieszaniu. Naturalnie, Mojżesz i Lykurg rozpoczynają ten szereg, jakkolwiek są oni tylko ostatnimi w swem otoczeniu odgłosami owego pierwotnego ustroju społecznego, który odkryli nauce socyolodzy nowocześni, a którego resztki widzimy w Europie w almendach szwajcarskich i obszczynie wielko-ruskiej. Już to wskazuje, że p. Z. znowu nie uchwycił tu „mięsa“ historycznego. Obecne ideały socyalne są wynikiem rozwoju nowoczesnych metod produkcyi; te ostatnie w początkach stulecia wykluwały się dopiero. Fourier, Owen i inni z drobnych ułamków, drogą syntezy, odbudowali niby najodpowiedniejszy ustrój społeczny dla ich pomieszczenia. Lecz warstwa, której interesom te ideały służyły, powstawała zaledwie. Rola więc Owenów była marzycielska. Lecz obecnie pierwiastki te doszły do większej mocy i wytworzyły odpowiednią klasę — najmitów. Zamiast marzeń rozpoczyna się epoka krytyki i pozytywnych dążeń polityczno-klasowych. Oto w kilku słowach treść rozwoju odpowiedniego. U p. Z. rozpłynęła się ona w wyliczaniu oddzielnych przedstawicieli! O ile znaczenie ich dziejowe pojmuje autor, za dowód służą następujące wyliczenia. Saint-Simon zajął przeszło stronicę, Owen stronicę, Fourier aż cztery, Marxowi zaś poświęcono kilka wierszy i powiedziano tylko, że dzieło jego odznacza się dokładną znajomością angielskich stosunków fabrycznych, sprawozdań inspektorów i śledztw parlamentarnych... *). Engelsa nazwano „umiarkowanym“ i z bogatych jego poglądów historyozoficznych przytoczono, iż „usprawiedliwiał“ klasyczną niewolę, przyczem zmieniono powody tego „usprawiedliwienia,“ lub raczej, jak mówi Engels, konieczności dziejowej, co nie na jedno wychodzi. Nawet Schultze-Delitsch znalazł się wśród tego grona. Słowem, możnaby całego rozdziału, wraz z kropkami i przecinkami, wyuczyć się na pamięć i nie będzie się wiedziało, czego chcą tutaj wyprowadzeni myśliciele, a tembardziej nie uchwyci się logiki dziejowej, rządzącej ich ukazywaniem się na widowni

*) Wprawdzie o Marxa zaczepia p. Z. w toku dalszym, lecz nigdzie nie mamy całokształtu jego teoryi, na której od lat wielu ostrzą swe zęby powagi urzędowe Niemiec.

społecznej. Wprawdzie (na str. 142) autor bierze się do wyszukania źródła, o próbach tych niepodobna nam jednak mówić z braku miejsca. Natomiast często dopuszcza się on nieścisłości. Rozumiemy, dlaczego p. Z. twierdzi, iż kto dąży do spólności dóbr, zmierza i do spólności żon. Maszyny, słyszy on, mają być własnością kolektywną; ponieważ zaś kobieta obecna nie jest społecznie człowiekiem, lecz maszyną do dostarczania przyjemności mężczyznom, jako taka winna zostać przeto wspólną własnością rodu męzkiego... Jest to w logice stanowiska p. Z. Lecz dlaczego każe już mówić np. Rodbertusowi, czego ten ostatni nie twierdził, to jest bardziej niezrozumiałe. Rodbertus ma błądzić, gdyż jedynie pracę ręczną uważa za przyczynę kosztów, o współdziałaniu ducha zaś utrzymuje, że nie jest nakładem (str. 84); fałszywem też ma być zdanie pomorskiego junkra-socyalisty, że czynność umysłową człowieka należy wyłączyć z produkcyi ekonomicznej (str. 278); wreszcie mylić się ma on, uważając kapitał i ziemię za nieprodukcyjne ekonomicznie, kiedy zdaniem p. Z. są one niezbędne do produkcyi odpowiednich *dóbr* i bez ich pomocy te ostatnie nigdyby nie powstały (str. 278). W tem wszystkiem jest sporo — nieporozumienia... Rodbertus bowiem twierdzi stanowczo, że bez kapitału i ziemi niepodobna wyprodukować ani jednego atoma dobra i że są one nadzwyczaj produkcyjne ekonomicznie; pomyłka p. Z. spoczywa w tem, że zdanie, iż ziemia i kapitał nie stwarzają wartości, wziął za dowód, że nie przyczyniają się one do wytwarzania dobra! Według Rodbertusa, praca umysłowa jest także nakładem fizyologicznym; rzecz znowu cała w tem, że praca wynalazcy np. otrzymuje wynagrodzenie z renty przedsiębiorcy i ma nie wpływać na wartość produktu. Jak widzimy, nieporozumienie znaczne. Rodbertus, podobnie jak Marx, mają uważać kapitał za wytwór ostatnich stuleci. Zdanie to możnaby wystawić jako świadectwo nieznajomości obu autorów. Dla Rodbertusa (patrz jego *Das Kapital*) kapitał istnieje od wczesnych okresów dziejowych i nie przestanie istnieć — inaczej, niż u p. Z.; atoli bytuje on odrębnie od posiadłości ziemskiej dopiero niedawno; Marx znowu w kapitale widzi coś innego — szatę dziejową, przybraną od niedawna przez narzędzia pracy, które naturalnie pozostaną ze zmianą tego przyodziewku prawno-społecznego. Przytoczyć wypada jeden dowód przeciw Rodbertusowi. Według niego, wszelki produkt ekonomiczny, dzięki prywatnej własności, dostaje się do rąk właścicieli ziemi i kapitału; nieprawda to według p. Z., gdyż ci mogą wypuścić swoją ziemię w dzierżawę... Setka takich dowodów na pewno nie zwali ani jednego założenia Rodbertusowskiego. Wogóle niepodobna powiedzieć, aby p. Z. znał obecną kwestyę robotniczą i jej przebieg, co jest w związku z powyższemi niedokładnościami. To też zdarza się czasem, że „truck-system“ (dosłownie „wymienny system“, tj. system wypłaty towarami) tłomaczy on jako system Trucka (str. 282)! W innem miejscu (str. 262, a także 290) mówi, że kwestya, jaką część wytworzonego produktu zabiera w swym zarobku robotnik, a jaką przedsiębiorca, jest dla większości zagadnień ekonomicznych obojętną i dla robotników niedecydującą. Naturalnie dla zagadnień ekonomiki mieszczańsko-szlacheckiej z pozoru niewiele ona znaczy (w rzeczywistości starannie ją omijają, jest to w ekonomii pięta Achillesa), dla teoretyków najmictwa nabiera pierwszorzędnej wagi. Prace Marxa i Rodbertusa, oraz czartystów obracają się dokoła niej, jako słońca.

Opuszczamy rozbiór poglądów p. Z. na tak pierwszorzędne pojęcia, jak wartość, kapitał, renta, placa, własność. Nie dlatego, abyśmy nie mieli dużo pomówić o jego twierdzeniach; czytelnik już mógł zauważyć, że bardzo wiele jest do rozpatrzenia. Lecz ramy pisma tygodniowego stają temu na przeszkodzie i z konieczności musimy ograniczyć się do podania najogólniejszego zarysu. Dość zatem będzie, jeżeli naszkicujemy stanowisko p. Z. względem obecnej kwestyi społecznej. Autor, mimo że z żywych ludzi robi cienie (Fourier), że książki odrywa od gruntu, na którym się urodziły, jest członkiem społeczeństwa i wyrazicielem pewnych warstw społecznych, wśród których wyrósł i żyje. Jego ideały są w zgodzie z jego pojęciami o rencie, płacy, kapitale, a raczej te ostatnie są przykrojone do jego ideałów. A więc czem jest p. Z.? Otwarcie wypowiada się on w przedmowie: „Zadaniem obecnem ekonomiki jest nauczać klasy nieposiadające, że tylko pracą a oszczędnością mogą przyjść do posiadania dóbr materyalnych, że jeżeli zechcą użyć w tym celu przemocy, przyczynią się tylko do zniszczenia i tak już niedostatecznej ilości dóbr materyalnych (str. VI). Życie odpowiada panu Z. na to wymownie; angielskie Trade-Uniony, ów ideał robotnika oszczędzającego, po wielu latach doświadczenia doszły do przekonań odmiennych. Zresztą nasz pisarz ma inną troskę na głowie, rozstrzyga bowiem jedno zagadnienie i nie może go rozwiązać. Otóż wielu ekonomistów zadawało sobie pytanie, co jest korzystniejszem dla gospodarstwa narodowego, czy powiększenie dochodu ogólnego, czy czystego? — i rozwiązanie tego pytania czynili zależnem od drugiego: czy należy dążyć do zwiększenia zarobków dla klas niższych, czy do zwiększenia renty gruntowej i odsetków od kapitału? Pytanie powyższe według p. Z. nie da się rozstrzygnąć na jedną albo drugą stronę (str. 260)... Wprawdzie idzie dalej zdanie, nieco łagodzące ostrość niepewności przytoczonej, lecz w każdym razie nie znoszące jej. Nawet w tem, że z postępem ekonomicznym zarobki coraz mniej wystarczają do niezależnego utrzymania robotników jako klasy społecznej, p. Z. znajduje dobrą stronę (str. 287) — mniejsza jaką. Wogóle dobra strona w złem występuje u niego często. Zmiany np. mody mają także dobrą stronę — bo co wychodzi z mody dla bogatych, staje się przystępnem dla biednych (str. 324). Wiele autor liczy na to, że szkoły swem hypnotyzowaniem uczynią robotników rozsądniejszymi (tj. pozwalającymi się łatwiej wyzyskiwać). Tą drogą dzieci, które z czasem będą robotnikami, zrozumieją naturę rzeczy, uwolnią się od uprzedzeń itd. (str. 131). Kto jednak da na te szkoły, hodujące pokorną trzodę najmicką? Kapitaliści? Nie! Winni na nie łożyć robotnicy. Najniebezpieczniejszym bowiem środkiem zmniejszenia różnic majątkowych jest postępujący podatek dochodowy, który zbliża się bardzo do — przymusowej spólności dóbr (321). Wobec więc wstrętu p. Z. do tego podatku szkoły będą powstawały chyba z opłat konsumcyjnych, tj. przeważnie jeśli nie wyłącznie z kieszeni robotników, co potrzeba było dowieść. Lecz to jedna strona medalu druga—stanowisko p. Z. względem rent i kapitałów. Renta ma naturalnie swoją „dobrą“ stronę, mimo że jest daremnym nabytkiem posiadaczów rolnych. Bez renty należałoby się obawiać, że cała ludność będzie zmuszona do pracy dla zaspakajania potrzeb i nie pozostanie wtedy czasu dla zajęć umysłowych i zbytku szlachetnego, które są jednak podstawą wszelkiego postępu trwałego (str. 281). Prawo znowu otrzymywania odsetków od kapitału polega między innemi na ofierze, jaką przedstawia wstrzymanie się od osobistego użycia swych zasobów (str. 303)...

Naturalnie w tym, mimo swej długości, pobieżnym szkicu rozbiorowym zarysowaliśmy tylko ogólną treść książki. Na zakończenie musimy wspomnieć, że cokolwiek da się powiedzieć o tym dziele pod względem braku pierwiastków twórczych, autorowi jej należy przyznać erudycyę i sumienność — naturalnie w pewnym zakresie. Że niedokładność względem niektórych ekonomicznych kierunków jest znaczna, nie przeczy to dbałości w innych razach; świadczy tylko, że autor wprost jest niezdolny do wychylenia się po za pewne szkoły i czasy i do zdania sprawy z obcych sobie światów. Pytanie już inne, czy erudycya sama jest jeszcze wiedzą rzetelną... Jakkolwiek na to odpowiemy, rzecz pewna, że podobne książki, jak p. Z., nie posuną wiedzy ani o krok dalej.

* W poprzednim numerze przez omyłkę w szpalcie II str. 498 wkradło się nazwisko Schmollera.

Ludwik Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

GEOGRAFIA

(według J. K. Plebańskiego *).

I.

Artykuł „Geografia“ w *Encyklopedyi wychowawczej* zasługuje na bliższy rozbiór z wielu powodów, a mianowicie: z powodu swej obszerności, z powodu nazwiska autora, byłego profesora uniwersytetu, z powodu pochlebnych głosów naszej prasy, która wyraziła życzenie, aby ten „gruntowny“ i „cenny“ artykuł mógł się ukazać w osobnej odbitce; nakoniec z powodu celu, jaki sam autor-profesor pracy swej przypisuje, mianowicie — „informowania nauczycieli geografii.“

Ponieważ niżej podpisany jest właśnie jednym z nauczycieli geografii, pragnął się więc też „poinformować“ i nie od rzeczy będzie zapewne, gdy wrażeniami swemi w tym względzie podzieli się z kolegami, ażeby im „informowanie“ się z artykułu prof. Pleb. ułatwić.

Prof. Plebański korzystał szeroko w swym artykule z konkursowej pracy „profesora Staubera“ (*Das Studium der Geographie*, 1888), ufając dedykacyi tej pracy królowi Leopoldowi II (*in tiefster Ehrfurcht*), olbrzymiej nagrodzie 25,000 franków oraz areopagowi sędziów, złożonemu z dyplomatów i wojskowych, opromienionemu blaskiem królewskiego prezesa. Niestety jednak, mimo tak olśniewających akcesoryów, dzieło Staubera nie wytrzymuje krytyki i odznacza się brakiem głębszego, naukowego przygotowania. Stauber zalicza np. fizykalistę Peschla i teleologa Rougemonta do geografów jednej kategoryi; w kategoryach geograficznych opisu krain pomija najważniejszą — geologiczną (str. 18); drobność zwierząt Nowego świata w porównaniu ze Starym wyjaśnia w przestarzały, bezpodstawny sposób większą wilgotnością Ameryki (str. 90), nie wiedząc nic o wyjaśnieniu ewolucyjnem, darwinistycznem **); chce, aby podręcznik geograficzny zawierał historyę kraju, jako rzecz odrębną, stanowiącą wstęp do opisu geograficznego (w duchu więc przestarzałego Daniela) (str. 96), tymczasem metodę tę już dawno i słusznie potępiono, albowiem historya o tyle tylko może wchodzić do geografii, o ile splata się z nią w jedną przyczynową całość. Dalej żąda Stauber, aby podręcznik podawał cyfry powierzchni oraz wysokości gór „z całą ścisłością;“ nie wie on widocznie, w jaki sposób cyfry te powstają, nie wie, jakim błędom podlegają takie pomiary; wymaga pomieszczania w podręczniku takich rzeczy, jak pomniki, zakłady sztuk, nauk itp., chce więc cofnąć geografię do dawnej roli worka z przeróżnemi ciekawemi wiadomościami, do stanowiska, jakie u nas zajmuje Czarkowski itd. itd.

*) *Encyklopedya wychowawcza*, t. IV, zeszyt V, VI, VII.

*) Porówn. *Geografia rozumowa*, str. 144.

Gdyby prof. Pleb. myślał, że taki sąd o Stauberze, który wyraziłem już poprzednio w *Przeglądzie pedagogicznym*, jest wynikiem „zadufania“ i „niedojrzałości“ „zapalonych reformatorów geografii,“ którzy „rozumowaniem mrożą umysł i duszę każdej szlachetniejszej istoty młodzieńczej,“ to niech raczy zajrzyć do „Literaturbericht“ w *Petermann's Mitteil*, gdzie redaktor tego pisma, jeden z najznakomitszych geografów Supan, wydaje również ujemny sąd o pracy Staubera, jakkolwiek nie uzasadnia tego tak, jak to my tutaj czynimy. Prócz tego w *Zeitschr. für Schulgeogr.* (1889, X 312) znajdzie prof. Pleb. wiadomość, że Wagner w *Geographisches Jahrbuch* (t. XII) pomieścił „vernichtende Kritik“ dzieła Staubera; to też sprawozdawca otrzega „um sich von der Preisszuerkennung nich blenden zu lassen.“ Nie można więc żadną miarą zaprzeczyć, że ów potężny a „cenny“ piedestał, na którym prof. Plebański oparł swój „gruntowny“ artykuł, rozsypuje się w gruzy; przykra to zaiste sytuacya tak dla prof. Pleb. w szczególności, jak i dla *Encyklopedyi wychowawczej* w ogólności!

Prof. Pleb., nie domyślając się nawet takiej fatalności, powtarza z namaszczeniem całe ustępy z dzieła „profesora Staubera;“ przytem jest tak szczęśliwym w wyborze, iż nie pomija ani jednego (prócz pierwszego) z wyżej wymienionych przez nas błędów autora niemieckiego. Sprawiedliwość jednak nakazuje nam wyznać, że prof. Pleb. nie poprzestał na błędach prof. Staubera: w tym kierunku poszedł znacznie dalej, wykazał rzadką nawet u nas samodzielność a zarazem i wszechstronność. To też wyznajemy otwarcie, iż nie jesteśmy w stanie rozklasyfikować różnych działów geografii ze względu na ową „samodzielność,“ jaką w nich prof. Pleb. wykazał: za każdym razem ten dział wydaje nam się zasługiwać na pierwszeństwo, który w danej chwili uprzytomniamy sobie.

Geografia matematyczna nie ustępuje pod tym względem innym działom. Profesorowi Pleb. nie podoba się przedewszystkiem, że niektórzy (a ja między nimi) na oznaczenie jej używają nazwy „astronomiczna;“ twierdzi on, że to jest „niewłaściwie“ (?). Możliwe jego argumenty w tym względzie budzą bezwątpienia w każdym geografie najżywsze zaciekawienie; niestety, prof. Pleb. jest wogóle nadzwyczaj skąpy w argumentach, zbyt ceni na to swe zdanie.

Według niego równik, zwrotniki itd. należą do linii „stałych.“ Stałość równika możnaby jeszcze prof. Pleb. darować: „dojrzali“ geografowie mogą się nie zaprzątać takiemi drobnostkami (porówn. naszą „Kronikę geogr.“ w *Wiśle*, III, 137); ale stałość zwrotnika, to błąd już zbyt elementarny: możemy zaręczyć prof. Pleb., że zwrotniki nie należą do linii „stałych,“ ponieważ zależą od pochylenia ekliptyki, które ulega zmianom; od przytaczania argumentów uwalnia mnie każdy podręcznik geografii astronomicznej.

Prof. P. mówi nam z powagą o „rzutowej“ mapie Merkatora; pozwolimy sobie zapytać prof. P., gdzie widział mapę nierzutową, jeżeli wyszczególnia mapę Merkatora jako „rzutową?“ Wygląda to tak, jakby ktoś z pomiędzy kul wyróżniał jakąś jedną okrągłą; czyżby istniały inne? (zresztą u prof. P. i to jest możliwe, mówi on bowiem o globusach, tj. kulach, płaskich!).

Prof. P. zupełnie nie rozumie mapy Merkatora a nawet nigdy widocznie nie przyjrzał się jej z uwagą; albowiem rekomenduje ją dla szkół z tego powodu, że ona „*najdokładniej* przedstawia położenie części ziemi w ich *wzajemnym stosunku*;“ tymczasem dość spojrzyć na mapę Merkatora, aby dostrzedz, że np. Grenlandya przedstawia się na niej tak wielką, jak Afryka, choć w rzeczywistości jest przeszło 10 razy mniejszą!; że odległość jej od Europy jest na tej mapie większa niż odległość Ameryki Południowej od Afryki, tymczasem w rzeczywistości jest odwrotnie itd. To też, jakkolwiek nie chcielibyśmy „rozumowaniem mrozić duszy szlachetnej,“ jednakże zmuszeni jesteśmy w powyższem twierdzeniu prof. Pleb. zaprowadzić następującą, choć bardzo drobną, modyfikacyę: „mapa Merkatora *najniedokładniej* przedstawia położenie części ziemi w ich wzajemnym stosunku.“ Wogóle wiele twierdzeń prof. Pleb. mogłoby się stać prawdziwemi po zaprowadzeniu analogicznej drobnej modyfikacyi, to jest po zamianie „tak“ na „nie“ i odwrotnie *). Tylko z dalszem twierdzeniem prof. Pleb. o mapie Merkatora, że ona „przedstawia całą ziemię w jednem kole!“, już nie jestem w stanie dać sobie rady, żadna modyfikacya tu nie pomoże; moim uczniom z klasy pierwszej piszę za taką odpowiedź zły stopień!

Pierścień mosiężny na globusie ma, według prof. P., przedstawiać *pierwszy południk*, tymczasem przedstawia on wszelki możliwy południk, jest *ogólnym południkiem*; wiedzą o tem także w klasie pierwszej!

Ciekawi jesteśmy niezmiernie, co może oznaczać następujące wyrażenie prof. Pleb.: „przyjmując szerokość południka w Europie środkowej m. 50“ (??); wszakże południk, jako linia, nie może mieć szerokości w znaczeniu geometrycznem, ajako ciągnący się od bieguna do bieguna, nie może mieć szerokości w znaczeniu geograficznem.

Nie mniejszą „gruntowność“ znajdujemy u prof. Pleb. w innych działach geografii, nawet w metodyce szkolnej.

Część geografii, badającą ziemię jako arenę działalności człowieka, nazywa p. Pl., według starej terminologii, niewłaściwie geografią polityczną, jak gdyby państwo było jedynym, a choćby najważniejszym objawem geograficznej działalności człowieka. Z dalszych określeń tej geografii politycznej okazuje się, że p. Pl. pomieszał pojęcie geografii człowieka z pojęciem geografii szczegółowej (krajoznawstwa); popełnia on błąd zwykły u nas śród ludzi niekompetentnych, ale dziwny u metodologa, filologa, historyka i geografa, mianowicie: miesza pojęcie geografii ogólnej z pojęciem geografii powszechnej, to jest nie odróżnia pojęcia *geographia generalis* od *geographia universalis*, co mógłby znaleźć w niektórych „niedojrzałych“ podręcznikach szkolnych.

Między cyframi, na które, według p. Pl., szkoła powinna kłaść nacisk i podawać „z całą ścisłością,“ znajdujemy, prócz powtórzonych za Stauberem cyfr powierzchni i wysokości gór („gdyż są to fakta *ustalone* z *trwalemi* danemi“!), także cyfry długości rzek: prof. Pleb. nie zdaje się domyślać, że nawet cyfry rzek obliczane przez różnych autorów różnią się co najmniej o kilka mil, a to stosownie do skali mapy, jaka służyła za podstawę obliczeniu, oraz stosownie do metody obliczania (cyrklem lub kółkiem). Wobec tego twierdzenie p. Pleb., że Ren jest o 4 mile dłuższy od Elby (co nieszczęśliwy uczeń ma zapamiętać) tchnie pewną naiwnością geograficzną. Jeżeli jednak prof. Pleb. twierdzi, że Nil ma 600 mil długości, to popełnia błąd blizko o 300 mil! — co już przewyższa wszelkie błędy metod; widocznie autor chce utrzymać dawną długość Nilu, jaką mu przypisywano przed odkryciem jego krainy źródłowej. Jest to już chyba ultra-konserwatyzm.

Prof. Pleb. skwapliwie „informuje“ nas nauczycieli, że „najdoświadczeńsi pedagogowie“ zgadzają się na to, aby z wykładu szkolnego usunąć stanowczo (sic!) meteorologię oraz domagają się jednomyślnie (co za zgodność!), aby nie dopuścić do szkoły żadnych zagadnień naukowych.“ Twierdzenia te są tak charakterystyczne, że warto się dłużej nad niemi zastanowić.

Co do pierwszego, to wiadomo nam, że niektórzy „najdoświadczeńsi pedagogowie“ geograficzni sami nie tęgo się znają na meteorologii, stąd nie chcą oni dopuścić jej do szkoły, stąd powstają oni tak zawzięcie przeciw „niepomiarkowanym wymaganiom zapalonych geografów,“ przypisują im błędnie encyklopedyzm w geografii, tymczasem oni są mu wręcz przeciwni i wymagają tylko poprostu *podstaw* matematyczno-przyrodniczych od geografa, gdyż bez nich ani kroku w geografii zrobić nie można. Naturalnie, iż wymagania tak „niepomiarkowane“ gniewają „doświadczonych i dojrzałych“ pedagogów. Jakby dla stwierdzenia swego zapatrywania na zbyteczność meteorologii prof. Pleb. nie chce rozumieć tak prostej rzeczy, jak izotermy roczne, twierdzi bowiem, iż służą one (roczne!) do przedstawienia *rozkładu* temperatury „*podczas*(!) całego roku“ (str. 461); możemy zaręczyć prof. Pleb., że o rozkładzie *podczas* roku nic a nic z izoterm rocznych się nie dowie.

Wogóle prof. Pleb. radby usunąć wszystko to z geografii, na czem się nie znają „dojrzali“ pedagogowie, między innemi nawet kartografię! „Nauka o konstrukcyi map — mówi prof. Pleb. — według naszego zapatrywania (proszę!) przekracza granice szkoły.“ Wybornie! Ale w takim razie trzeba ze szkoły mapy usunąć zupełnie, albowiem bez znajomości ich konstrukcyi są one zupełnie niezrozumiałe, jak to znów najlepiej dowiódł prof. Pleb. swem niezrozumieniem mapy Merkatora. Doprawdy zachodzi poważna obawa, że jeżeli usuniemy z geografii wszystko, co ambarasuje „dojrzałych“ pedagogów, to nic się nie zostanie prócz tego, co życzy sobie prof. Pleb., to jest czysto „pamięciowych podręczników“ ułożonych nie tak chaotycznie jak geografia rozumowa, lecz z „ładem“ (tj., osobno wyliczone góry, osobno przylądki, osobno rzeki jedna po drugiej, jak u Czarkowskiego!).

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

---

*) Mapa Merkatora może wprowadzić w błąd nietylko uczniów, ale nawet uczonych. Wojejkow np. (*Klimaty zemnago szara*, str. 351) mówi, że mapy Merkatora dają przesadne pojęcie o obszarze pasów zimnych; *oko mimowolnie przywyka do tego.* Toż samo ostrzeżenie robi Hann (*Geographisches Jahrb.* 1887, str. 15).

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bezpłodny ale najwygodniejszy z *izmów*. — *Kraj* jako izba sejmowa, a p. Piltz jako jej marszałek. — Godność i przywileje. — Sądy redakcyi czytane wprost i wspak. — Przekroczenie granic tolerancyi. — *Curiosum* o żydach. — Prawdopodobna odpowiedź. — Grunt neutralny. — Prawo sklepu. — Paderewski. — Jego optymizm filozoficzny i charakterystyka przy pomocy nawiasów niemieckich. — Zagadkowe pretensye kronikarza *Niwy*. — Cenzura pism warszawskich w Galicyi. — Jubileusz Kucza.

Rzeczywiście, p. Piltz, obdarzony tylko zdolnościami literackiego przedsiębiorcy i komiwojażera, zakładając swój *Kraj*, jeżeli chciał grać na loteryi wydawniczej z nadzieją powodzenia, musiał zrzec się — wszelkich stałych zasad i wyraźnych przekonań. Zasady bowiem i przekonania trzeba naprzód mieć, powtóre — trzeba w nie uwierzyć rozumem i sercem, po trzecie — trzeba je umieć bronić, a wreszcie trzeba poprzestać tylko na ich — często szczupłem — kółku wyznawców. Na to p. Piltz zdobyć się nie mógł. Więc zamiast konserwatyzmu, liberalizmu, demokratyzmu itd. wybrał sobie hermafrodytyzm polityczno-społeczno-literacko-bezpłodny, ale najwygodniejszy ze wszystkich *izmów*. *Kraj* stał się izbą sejmową, w której najrozmaitsze stronnictwa i żywioły zabierały głos, a p.

Piltz im marszałkował, układając porządek rozpraw i przestrzegając form parlamentarnych. Sama myśl o tem, ażeby zgromadzeniu, w którem przemawiają: Asnyk, Orzeszkowa, Prus, Korzon, Dzieduszycki itd., przewodniczył p. Piltz, wydaje się dziwną, prawie niemożliwą, a przecież tak było. Zapewne, ci posłowie literatury, gdyby formalnie wybierali sobie prezesa, powołaliby kogoś innego, ale faktycznie ten stanął na ich czele ze wszystkimi pozorami męża zaufania. Tak np. w *Kraju* przeciągnął się długi szereg „listów do redaktora,“ pochodzących często od ludzi bardzo poważnych. „Listy“ te po większej części p. Piltz sobie obstalowywał. Po prostu zwracał się do kogoś z prośbą: bądź pan łaskaw napisać „do redaktora *Kraju*“ list otwarty w sprawie takiej a takiej za cenę taką a taką od wiersza. Zewnętrznie jednak ta korespondencya wyglądała inaczej, jak gdyby jej autorowie przesyłali swe głosy do laski marszałkowskiej.

Obok godności, tą samą drogą wyrobił sobie wygodę i swobodę. Ponieważ *Kraj* był izbą sejmową, równouprawniającą wszystkie stanowiska i opinie, więc otwierał swe kolumny, wszystkim bez ściągania na siebie odpowiedzialności przed czytelnikami, a nawet przed krajem (przez małe *k*). Gdyby *Wiek* zamieścił artykuł przeciw szlachcie lub duchowieństwu, a *Kłosy* przeciw żydom, abonenci tych pism krzyknęliby na niekonsekwencyę i na wyłamywanie się z programu. Żadna podobna reguła nie obowiązuje *Kraju*, jak nie obowiązuje sejmiku. Mogą w nim przemawiać i wzajemnie się przekonywać zarówno: niemcy, polacy, rusini, czesi, węgrzy, żydzi, antisemici, możnowładcy, demokraci. Zachodzi tylko ta różnica, że tam gama tonów jest całkowitą, a tu niezupełną, pozbawioną nuty najważniejszej, wymagającej opuszczenia innych dla uniknięcia rozdźwięków, które p. Piltza nie rażą. Ponieważ wszelkie sejmowanie kończy się uchwałą, więc i *Kraj* ogłasza czasem sąd „redakcyi.“ Ale sąd ten zwykle jest układany według „Raków“ Kochanowskiego. Jeżeli czytasz wprost, będzie:

„Godności trzeba, nie za nic tu cnota,
Miłości pragnę, nie pragnę tu złota.“

Jeżeli czytasz wspak, wypada:

„Cnota tu za nic, nie trzeba godności,
Złota tu pragnę, nie pragnę miłości.“

Zdawało ci się, że uchwycisz coś dotykalnego, realnego, tymczasem złapałeś cień, który się rozwiał, pozostawiwszy tylko „grunt neutralny.“

Byłby ten „grunt neutralny“ na wydawniczym folwarku p. Piltza długo jeszcze służył za miejsce spotkania i „porozumiewania się“ rozmaitych ludzi, a nawet narodów, gdyby gospodarzowi nie przyszła ochota zasiania na swej niwie sensu moralnego bajek, które znalazły się nagle po za granicami udzielonej mu a obszernej pobłażliwości. Odtąd rozpoczęła się wrażliwość śród czytelników *Kraju*, kontrola jego wystąpień i niechęć do „gruntu neutralnego.“

Jakkolwiek zwrot ten jest objawem pocieszającym, chociażby dlatego, że u nas w prasie nie godzi się być „gruntem neutralnym,“ to jednakże przyznać trzeba, że weń wplatają się nici pretensyj niesłusznych. Przed kilku dniami byłem w pewnem towarzystwie świadkiem oburzenia na *Kraj* za jego artykuł o żydach. Rzeczywiście artykuł ten stanowi istne *curiosum*. Jego autor, wspomniawszy o zamknięciu drogi adwokackiej kilku młodym izraelitom, ani nie cieszy się, ani nie smuci tym faktem, nie objawia ani przyjaźni, ani nienawiści do żydów, lecz powiada: „Współczuć silnie już im nie można. Wszystko się zużywa, a uczucie najprędzej... Czyż można się dziwić, że znaczna wrażliwość ludzka wypowiada posłuszeństwo nawet poczuciu słuszności... Pozwólcież odpocząć zmęczonej wrażliwości chrześciańskiej, która daje obecnie żydom to, co ma najsprawiedliwszego — obojętność.“ Pomijam ludzi — biorę cielęta, które się żalą, że wbrew zakazowi policyjnemu handlarze upakowali je związane na wozie. Moje cielaki — mówi woźnica kształcony w etyce *Kraju* — „radbym z was widzieć lepszych psychologów, pozwólcie odpocząć zmęczonej (waszem beczeniem) wrażliwości; mogę wam dać to, co mam najsprawiedliwszego — obojętność.“ Członek Towarzystwa opieki nad zwierzętami, usłyszawszy ten wywód, zapewne oburzyłby się i zaskarżył przekupnia do sądu za „zmęczoną wrażliwość“; wyrażają swą zgrozę i żydzi, ale nawet zdumiony takiem traktowaniem ludzi ich obrońca nie może *Krajowi* wytoczyć procesu moralnego, bo p. Piltz odeprze: „Czy to moje przekonania lub kogoś z redakcyi? Przecież w artykule wyraźnie zaznaczono, że tak mówił do nas pewien „człowiek żydowskiego pochodzenia a katolickiej wiary,“ którego „opinie, chociaż nie są prawdą, mają takie pozory, jak gdyby długo koło jakiejś prawdy leżały“ i „zawierają ziarnko słuszności.“ Powtarzam: „ziarnko słuszności“ (szukajcie sobie tego ziarnka w korcu słów!), a przytem należy ono nie do nas, lecz do pewnego „człowieka.“ Ja jestem właścicielem „gruntu neutralnego,“ na którym każdy może robić, co chce, aby tylko był przyzwoitym. Niepodoba wam się „zmęczona wrażliwość“ wobec waszych lisów; poczekajcie, zamówię sobie „list do redakcyi *Kraju*“ u p. Peltyna lub barona Hirscha, który wykaże potrzebę „wzmocnienia wrażliwości.“ Przy naszym stole i antisemityzm nie powinien być głodnym — wszyscy syci. Bo *Kraj* jest „gruntem neutralnym.“ Ot np. wydrukowałem hymn polityczno-historyczny p. E. Bogusławskiego. Za tydzień lub dwa wydrukuję przeciwny artykuł Tarnowskiego lub Romanowicza. Ach, gdyby mi się udało dostać „list otwarty“ od Ludwiki Michel, Ferrego, Boulangera, Cassagnaca, Bismarka, dyrektora policyi w Krakowie i Limanowskiego! Nie uwierzycie, jak mnie to dręczy!“

Jeżeli nie tymi wyrazami, to niewątpliwie tą logiką odpowiedziałby właściciel „gruntu neutralnego“ — i miałby „ziarnko słuszności.“ Bo semita, wyrzucający mu antisemityzm, podobny jest do zwolennika papierosów Polakiewicza, karcący dystrybutora, że ten sprzedaje również papierosy Bogdanowa. Tu i tam nie trzeba widzieć nic innego, tylko sklep, w którym znajduje się wszelki towar pokupny, a czasem nawet kontrabanda, którą tu konfiskują akcyźnicy pod postacią nieobanderolowanych cygar, a tam ludzie z „niezmęczoną wrażliwością“ pod postacią nietolerowanych bajek. Dziwcie się lub oburzajcie, jeżeli *Gazeta warszawska* zacznie „podporządkowywać interesy społeczeństwa interesom ludu“ lub *Gazeta rzemieślnicza* — sławić rzemieślników żydów, ale nie dziwcie się i nie oburzajcie niczem w *Kraju*. Na grunt „neutralny“ każdemu wejść wolno. Jeżeli zaś muzyka, oparta na ulomnej i ważnego tonu pozbawionej gamie was drażni, jeżeli katarynka *Kraju*, której walec jest nabity nawet słupkami kocich wrzasków, a natomiast fałszywie wygrywa melodye harmonijne — wasze uszy rozdziera, zamiast się gniewać lub uszy zatykać, nie słuchajcie takiej muzyki i takiej katarynki.

Jak świetny meteor przelatuje i spada coraz bliżej nas Padarewski, którego zapewne ujrzymy niedługo w Warszawie. Grał już bowiem w Krakowie i Lwowie, a ma się zwrócić ku wschodowi (nach Osten). Nasza krytyka artystyczna, która niedawno jeszcze wygwizdała panią Zimajer, a teraz gotowa jej konie wyprzęgać od powozu i dawniej nie chciała słuchać jej śpiewu, a obecnie zachwyca się jej miauczeniem (w Nitouche), krytyka nasza, która nieraz bywa histerycznie kapryśną i lekkomyślnie dokuczliwą, może tym razem odzyska powagę i takt wobec artysty, opromienionego blaskami wyjątkowej sławy. Podróż jego po Europie była przejazdem tryumfalnym (Triumphzug). Jeden z jego krytyków warszawskich upewnia nas, że objawił on „optymizm w poglądzie filozoficznym.“ Jakkolwiek Padarewski jest rzeczywiście człowiekiem wykształconym, myślącym, no i filozoficznym, w rozmowach z nim nie zauważyłem tego rysu; ponieważ zaś ani nie umiem z utworów muzycznych odgadywać „optymizmu w poglądzie filozoficznym,“ ani nie pojmuję, jak tego dokonać można, więc tego faktu nie stwierdzam (bestätige nicht). Natomiast wyjaśnię czytelnikowi, co znaczą wyrazy niemieckie w nawiasach. Wspomniany krytyk, chcąc czytelnikowi zrozumiale wytłomaczyć, kim jest Padarewski, między innemi cechami przyznaje mu „uszlachetnienie (Verklärung) namiętnych porywów duszy.“ Chociaż zamiast *Verklärung* możnaby z równą słusznością postawić np. *Ostern* i chociaż sądzę, że niema na świecie *jasnej* myśli, którejby nie można wyrazić po polsku, tak mi się podobał ten sposób uprzystępniania ogółowi ciemnych, że go użyłem w kilku trudniejszych wypadkach. Padarewski tedy nietylko piękne rzeczy tworzy i pięknie wykonywa, ale posiada „optymizm w poglądzie filozoficznym“ i „*Verklärung* namiętnych porywów duszy.“ Kto z tych określeń nie pojmuje, jakiej miary i natury muzykiem jest Padarewski, dla tego niema w mowie ludzkiej słów zrozumiałych (verständlich).

I kronikarz *Niwy* może spróbuje przemówić po niemiecku, gdyż czego on chce, coraz mniej odgaduję. Odezwałem się ostro o Galicyi, wystąpił przeciw mnie ze świadectwem swoich przyjaciół, którzy przywieźli ze Lwowa przyjemne wrażenia. Zauważyłem mu, że przyjemne wrażenia jego przyjaciół nie są dowodem, odpowiedział mi, że sąd swój opiera nie na nich, ale na „sześcioletnim pobycie w Austryi i studyowaniu stosunków tamtejszych zblizka,“ którymi „nie zachwyca się wcale.“ Ponieważ zaś i ja mieszkałem jakiś czas tamże i również „stosunkami w Austryi wogóle, a w Galicyi w szczególności nie zachwycam się wcale,“ więc za co ten szanowny mąż tak mnie gromi? Mniej go przenikam, niż prokuratoryę krakowską. Korespondent *Kuryera warszawskiego* donosi: „Z wiarogodnego źródła otrzymuję wiadomość, że prokuratorya wystąpiła z wnioskiem o upoważnienie do cenzurowania wchodzących do Austryi czasopism zagranicznych, a w *szczególności* pism warszawskich. Przyczyną tego żądania był artykuł o Austryi, zamieszczony w tygodniku *Pr*[illegible] kuł ten przedrukował jed[illegible] krakowskich, za co[illegible] a w konsekwency[illegible] ratoryą zażąd[illegible] prasą z[illegible] w lut[illegible] kon[illegible] a s[illegible] skat, [illegible] w Szcz[illegible] miem: st[illegible] zastrzeżo[illegible] powietrze [illegible] oddychać,“ [illegible] przywozili d[illegible] żenia.“ Zako[illegible] nasze powinny [illegible] nej chwalby raj[illegible] raju żyją ludzie, [illegible] jest ciągle tłumio[illegible] fiskatą, a którzy n[illegible] zasługują.

Przyjaciele Karol[illegible] tora obu *Kuryerów* i [illegible] beletrystycznych, po[illegible] 50-ej rocznicy jego dz[illegible] Właściwie Kucz nie [illegible] sela z literaturą, bo z [illegible] rozwiódł. Ponieważ jedn[illegible] koleżeńskie przypomnien[illegible]

człowieka uczciwego i zasłużonego, więc odbiło się echem sympatycznem. Dziennikarstwo miejskie, kuryerowe, istotnie zawdzięcza Kuczowi wiele.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Władza wydała pozwolenie na otwarcie nowych szół: w Maryampolu jednoklasowej szkoły żeńskiej, w Łodzi dwuklasowej żeńskiej dla dzieci wyznania mojżeszowego, w Płocku na jednoklasową ogólną.

— Komitet ministeryum oświaty, który miał decydować w sprawie rozkładu godzin gimnastyki, postanowił, aby t. zw. wielką pauzę przedłużyć o pół godziny, skróciwszy natomiast 10 minutowe pauzy pomiędzy pierwszą, drugą i trzecią godziną o 5 minut i odjąwszy od godzin 2, 3, 4 i 5-ej również po 5 minut. Tym sposobem godziny lekcyj trwać będą po 50 minut. Całogodzinna pauza użyta będzie w części (40 minut) na ćwiczenia gimnastyczne, a w reszcie na odpoczynek.

— Według sprawozdania dyrektorów szkół miejskich w Warszawie, do każdego zakładu zgłaszało się o 100—200 uczniów więcej nad liczbę oznaczoną. Od r. 1866 do chwili obecnej istniało w Warszawie tylko 33 szkół miejskich dla chłopców i dziewcząt (1 i 2-klasowych), na których utrzymanie magistrat przeznaczał 98,000 rs. rocznie. Obecnie inspektor postanowił przedstawić władzy wyższej projekt utworzenia większej liczby szkół.

— Nową klinikę chirurgiczną otwarto w Krakowie.

— Od r. 1880 w Galicyi daje się spostrzegać znaczny wzrost szkół ludowych, których rocznie przybywa 79,5.

— W wyższych szkołach technicznych w Prusach rozpoczęto wykłady o sposobach szybkiego opatrywania ran i skaleczeń.

— Uniwersytet brukselski otrzymał od jednego z miejscowych fabrykantów milion franków na urządzenie instytutu biologicznego.

— Rzeczpospolita południowo afrykańska, posiadająca język urzędowy holenderski, postanowiła założyć w swej stolicy, Pretoryi, uniwersytet. Profesorowie mają być sprowadzani z Holandyi.

— W Lipsku na wzór Ameryki powstała szkoła dla dziennikarzy. Przydałaby się ona dla naszych wyrobników dziennikarskich.

— W d. 19 b. m. we Lwowie na posiedzeniu sejmowem poseł Romańczuk rozwijał swój wniosek założenia gimnazyum ruskiego w Czortkowie, utworzenia klas równoległych z ruskim językiem wykładowym przy gimnazyach w Tarnopolu i Kołomyi i [illegible] seminaryum ruskiego w jednem [illegible] galicyjskich.

[illegible] otwarte będą w Petersbur-[illegible]

[illegible] o zawiązaniu [illegible] waran-[illegible] kom-[illegible] ris-[illegible] wy [illegible]

[illegible] Amery-[illegible] zjazd rol-[illegible] sienia cen [illegible] rzenie wiel-[illegible] ałem 20 mil.

[illegible] ysłu kaukazkie-[illegible]

[illegible] owi wprowadzili [illegible] cy, sprowadzonej [illegible] wszystkich gatun-[illegible] wielkości ziarna.

[illegible] zaju zboża w guber-[illegible] aczono — jak donoszą [illegible] rs. na zaliczki dla gmin [illegible]

[illegible] wa i przemysłu wiejskiego [illegible] ne eksploatacyę torfu dla [illegible]

Zjazdy. W Frankfurcie n. M. na zjeździe literatów niemieckich uchwalono założenie wspólnej kasy emerytalnej dla wszystkich literatów niemieckich. W następstwie uchwał założono nowe kasy zapomogi w kilku większych miastach państwa, tudzież ulepszono instytucyę sądów polubownych. Stowarzyszenie pisarzów niemieckich liczy 740 członków.

— Podczas zjazdu delegatów kółek rolniczych w Krakowie, otwartą została wystawa narzędzi pożarnych i wyrobów gospodarstwa włościańskiego.

— W Waszyngtonie zebrała się międzynarodowa konferencya miast nadmorskich w celu obradowania nad zapobieżeniem katastrofom morskim. Delegatów wysłały następujące kraje: Rosya, Stany Zjednoczone, Austrya, Belgia, Dania, Francya, Niemcy, Anglia, Włochy, Norwegia, Szwecya, Hiszpania, Siam, Wenezuela, Japonia, Chiny, Meksyk i Gwatemala. Pierwsze posiedzenie odbyło się 16 b. m.

Wystawy. Od 15 maja do 1 listopada r. p. w Wiedniu odbywać się będzie wystawa powszechna przemysłu rolnego i leśnego z międzynarodowemi grupami wystawców.

— W Monachium otwarto powszechną wystawę pocztową.

— W lipcu r. p. w Berlinie ma być urządzona powszechna wystawa koni.

— W Moguncyi odbyła się niemiecka wystawa aptekarska.

— W Moskwie Towarzystwo archeologiczne urządza w styczniu r. p. wystawę starożytności.

Przemysł. W Moskwie z kapitałem 400,000 rs. założono towarzystwo handlu z Persyą z prawem zakładania fabryk w tem państwie.

— W Warszawie powstanie wkrótce fabryka wszelkich papierów galanteryjnych, tudzież zbytkownego papieru listowego.

— Parowa fabryka wyrobów blacharskich na Pradze wkrótce w ruch będzie puszczona.

— Ministeryum skarbu postanowiło tytułem próby założyć kilka plantacyj morwy i zakładów jedwabniczych na brzegach Wołgi. Rozporządzenie to ma głównie na celu podniesienie dobrobytu włościan.

Opłaty akcyzowe w r. b. przewyższają przeszło o 68 miljony (20%) średnią liczbę za ostatnie lat dziewięć. Najmniej dają dochodu ze spirytusu gubernie Królestwa Polskiego.

Zapis. Zmarła Hortensya hr. Małachowska zapisała dla warszawskiego Towarzystwa dobroczynności 2,000 rs. na rzecz ochron lub potrzeb bieżących tej instytucyi.

Sprawy kolejowe. Pruskie koleje państwowe do IV klasy wagonów wprowadzają ławki drewniane, do III — poduszki skórzane, zniżają taryfę dla pakunków pasażerskich, a podnoszą cenę biletów dla podróżnych.

— Kapitaliści kurscy starają się w Petersburgu o wybudowanie kolei żelaznej z Kurska do Woroneża.

— Istnieje projekt kolei łańcuchowej z Lauterbrunnen na Jungfrau (4,167 metrów). Koszty wynosić mają 10 mil. franków.

Banki. W ministeryum skarbu złożono do zatwierdzenia projekt banku uralskiego w Jekaterynburgu. Instytucya ta udzielałaby kredytu przemysłowcom górniczym.

— Ryski Bank handlowy uzyskał uchwałę swych akcyonaryuszów na założenie filii w Wilnie. Bank ten posiada już oddziały w Białym Stoku, Dynaburgu i Libawie.

— W Chabarówce (nad oceanem Spokojnym) otwarto oddział Banku państwa.

— Gmach filii Banku państwa w Kielcach wkrótce sprzedany będzie przez licytacyę publiczną.

Z teatru. P. Kotarbiński wystąpił w roli Hamleta, która była przedmiotem jego długich studyów, rozmyślań i artykułów. Te studya i rozmyślania uwydatniły się w jego grze wyraźnie, a nawet za wyraźnie.

Bibliografia. T. Korzon, *Historya nowożytna*, tom I, str. 539, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— M. Wołowski, *Encyklopedya humoru*, zeszyt 2.

— S. Grosglik, *Fakty i przypuszczenia w dziedzinie asymilacyi*, str. 23, Warszawa.

Zmarli. Eliza Cook, powieściopisarka angielska.

— Leon Bentkowski, w Krakowie, kustosz muzeum ks. Czartoryskich.

— Dr. Paweł Brzeziński w Krakowie, b. dyrektor instytutu technicznego. Pod jego kierunkiem wykształciła się cała prawie nowa generacya techników, budowniczych i inżenierów.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Stanisławowi. Niech Pan przestudyuje podręcznik Bema: *Jak mówić po polsku* i czyta pisarzów wzorowych.

Pani Maryi Gr. Jeżeli chodzi o zajęcie, niech Pani tłomaczy np. *Historyę liter. angielskiej* H. Taine'a, ale jeżeli o wydanie przekładu, niech Pani naprzód postara się o wydawcę. My nie możemy zgóry wiedzieć, jaka książka przetłomaczona nakładcę znajdzie.

Panu Prz. Zamierzamy wprowadzić niedługo szereg zmian, w których i to się znajdzie.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

[illegible] iego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Октября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski